CENA 20 ZŁ

W numerze: Notatnik językoznawcy

CZYTELNIK

Odra
tygodnik

WROCŁAW
KATOWICE

KATOWICE — WROCŁAW — SZCZECIN — OLSZTYN, DNIA 16 MAJA 1948 ROKU

ROK IV

NUMER 20 (129)

HENRYK WORCELL

Narada
czyli sąsiedzkie życie

(Jest to dalszy fragment powieści „Odwet“ obejmującej dzieje pierwszego etapu osadnictwa polskiego w dolnośląskiej wsi).

Opaliński przybył ostatni. W kancelarii, oprócz sołtysa, zastał porucznika Stopkę, plutonowego Kałuskiego, sierżanta Molendę i Modlińskiego. To była szóstka, która na tym małym terenie, zamieszkałym przez sześciuset Niemców i trzystu Polaków, sprawowała władzę ograniczoną jedynie papierowymi nakazami Radomic i Wrocławia.

— Nareszcie! — zawołał sołtys na widok Opalińskiego. — Ty musisz sobie zmienić gospodarstwo na jakieś inne, żebyś był bliżej nas.

— Dobrze, dobrze — przerwał Opaliński — ale powiedzcie mi, po co to zebranie?

— A, prawda — przypomniał sobie sołtys — ty jeszcze nic nie wiesz. Od pierwszego do piątego kwietnia w Ptakowicach wysiedlanie...

— Fiuuu... — przeciągle gwizdnął Opaliński.

— ...a nas sześciu podałem do gminy na członków Komisji Wysiedleńczej.

— Dobrześ chłopie zrobił — żartem wtrącił Modliński — bo bez komisji te psubraty nie wyjechałyby.

— Więc słuchajcie: — podjął Saraniecki — we wsi mamy sześciuset ośmiu Niemców. Do transportu gmina wyznaczyła trzystu ośmiu. Pierwszego kwietnia ma wyjechać do punktu zbornego w Olbrzymowicach stu Niemców, drugiego kwietnia pięćdziesięciu, trzeciego pięćdziesięciu, czwartego trzydziestu ośmiu, piątego siedemdziesięciu. Zabrać im wolno tyle rzeczy, ile każdy może sam udźwignąć...

— Co? — z oburzeniem przerwał Modliński — tyle co mogą udźwignąć? A mnie jak zabierali na Mrozówkę, to mi nawet koszuli nie dali wziąć! Nie, jak Boga kocham, ja moim szkopom nie dam więcej zabrać jak po dziesięć kilo!

— Musisz, chłopie, takie rozporządzenie i już. Nie dasz im, to mogą ich z punktu zbornego wrócić do domu.

— A czort z nimi — dodał plutonowy Kałuski — niech biorą ile chcą, niech tylko jak najprędzej się stąd wynoszą.

Modliński machnął ręką i urażony odwrócił się do okna.

— Więc słuchajcie — podjął znów Saraniecki — wolno im zabrać, ile mogą unieść, ale tylko takie rzeczy jak bielizna, pościel, ubrania, żywność, garnki. Nie wolno im zabierać nic z inwentarza żywego, ani takich rzeczy, które są przeznaczone specjalnie do użytku gospodarskiego, jak na przykład: pasy od motoru, części maszyn i tede. O terminie wysiedlenia trzeba ich zawiadomić na dzień przed wyjazdem, żeby mieli czas się spakować.

— Jasny gwint! — Modliński uderzył się pięścią w kolano — dzień przed wyjazdem! A oni w Żywieckiem ile nam dawali czasu? Kwadrans! Nie, jak słowo daję, ja moich Szwabów zawiadomię dopiero rano.

— No i co panu z tego przyjdzie? — zapytał plutonowy Kałuski — Tak czy owak spakować się muszą.

Punkt zborny — ciągnął sołtys — plac przed świetlicą, godzina siódma rano. Codziennie będą wyznaczane podwody — mówiąc to patrzył na Modlińskiego i tłumił w sobie śmiech. — Rzeczy pojadą na wozach, a ludzie piechotą, za wyjątkiem starych i chorowitych. Bardzo chorych wysiedlać nie można; to zresztą zależało będzie od stopnia choroby i o tym decydował będzie punkt sanitarny w Olbrzymowicach. To wszystko. A teraz — tu spojrzał w okno i zamilkł.

Na placu, między kościołem a szkołą, stał ksiądz Bazarczyk, który przed trzema dniami przybył do Ptakowic. W tej chwili rozmawiał ze starą Paschilkową. Młody jeszcze, ale przygarbiony i sztywny, z daleka robił wrażenie świątka z przydrożnej kapliczki.

— Pewnie się do mnie wybiera — rzekł Saraniecki uśmiechając się chytrze. — Wczoraj spotkałem go, mówił, że przyjdzie, bo się chce dowiedzieć, kto z plebańskiego dzierżawi.

— Właśnie — przytaknął Stopka — to go przede wszystkim interesuje. Przedwczoraj, jak przyjechał z Milanowa, to nie poszedł do kościoła, tylko najpierw całą plebanię schodził.

— Pewnie szukał, czy jest co gdzie zakopane...

— Widać od razu, że ten nie będzie taki jak ksiądz Wójcik z Olbrzymowic. Takiego jak Wójcik daleko szukać.

— Czemu? W Drążkowie, powiadają, że jeszcze lepszy.

— Dalej, dalej, panowie — podjął sołtys — musimy teraz ustalić, kto tym transportem pojedzie. Przede wszystkim partyjnicy i właściciele większych gospodarstw. Ja tu już spisałem ponad dwustu ludzi, co do których nie ma żadnej wątpliwości, że powinni wyjechać. Resztę uzupełnimy razem. Więc słuchajcie: — sięgnął po listę i zaczął czytać.

Padały nazwiska dobrze wszystkim znane: Adler, Klapper, Hattwig, Wolff, Karger, Rose, Grünbach, Förster, Schmidt... Gdy skończył, pierwszy Stopka zapytał:

— A dlaczego pan Moebiusa nie wciągnął?

— Bo Moebius zostaje. Hruszczewska była w starostwie i uzyskała pozwolenie.

— No, no — wtrącił Opaliński zwracając się do porucznika — pamięta pan: „przypuszczam, że będą musiała kogoś nająć“. He, ciekaw jestem, co zrobi, gdy będzie drugie wysiedlanie.

— Hruszczewska! — zawołał sołtys — pojęcia nie macie, co to za skąpa baba! Kiedyś, jak była składka na odnowienie świetlicy, to dziesięć złotych dała. A co tydzień wiezie do Zamczysk po pięć kilo masła.

— A kiedyś — wtrącił Modliński — jakeś mnie posłał do niej, żeby pożyczyła konia na wyjazd do Olbrzymowic, to nie chciała dać! Powiada: „jak to można się czyją własnością rozporządzać!“

— Rozumiecie: czyjąś własnością.

— A Niemców zatrzymała do roboty, bo nie musi im płacić.

— Czort z nią, gadajcie teraz kogo jeszcze do „vaterlandu“ wysłać.

— Raabe — poddał Stopka.

— Nie — zaprzeczył sołtys — Raabe niech lepiej na razie zostanie. Białecka sama nie da sobie rady.

— To się jej przydzieli jakiego innego Niemca, a Raabe niech jedzie. To Pressechef Vogeldorfu.

— Taak? Skąd pan to wie?

Stopka filuternie przymrużył oko, a Modliński wyręczył go w odpowiedzi:

— Widać, że nie po darmo flirtuje pan z Niemkami.

— Dalej, kto następny?

— Kintscherowa z Rogówki — poddał Opaliński.

— Dobrze, niech Jankowskie się ucieszą. Dalej.

— Kunze zza młyna; on Figurskiemu niepotrzebny.

— Lange z góry!

— Pietsch od Mitręgi!

— Petruschke! Sam podobno chce jechać, trzeba go przesadzić na jałowszą ziemię.

— Feuerbach!

— Tego można zostawić, Kluska chce go zatrzymać.

— Lepiej nie — powiedział Stopka — ja go za często widywałem z Wolffem i Schmidtem.

— Z moim Paulem też się bardzo kumał — dodał Opaliński.

— Jeżeli tak, to niech jedzie — zgodził się sołtys.

W rezultacie doliczyli się trzystu piętnastu osób.

— Nic nie szkodzi, jeśli będzie trochę więcej, w transporcie się zmieszczą. A teraz słuchajcie: najgorsze jest to, że wielu Niemców będzie chciało jechać razem ze swoimi krewnymi albo sąsiadami...

— No, to co! — zapalczywie wykrzyknął Modliński. — A czy mnie na „Mrozówce“ razem z bra tem zamknęli? Ja bym psubratów naumyślnie porozdzielał, ojca wysłał dziś, a córkę za trzy dni!

— A dajcie im spokój — załagodził plutonowy Kałuski — niech już każdy jedzie z kim chce, co nam to szkodzi.

Modliński zwrócił się ku niemu z pogardą i gniewem.

— Z pana, to widzę, już taka cieta niemiecka; jak tylko coś przeciwko nim, to zaraz protestuje. Siedział pan na wschodzie pod ruską granicą i pewnieś pan Niemca nie widział. Żeby panu tak żebra pogruchotali jak mnie na „Mrozówce“, albo nogi odmroził, jak ja w Müllhausen, tobyś pan inaczej śpiewał. Ciekawym, czy pan dla banderowców też taki dobry?

Kałuski rozejrzał się po obecnych z jakąś wzruszającą bezradnością — był w tej chwili bardzo podobny do swego siwiutkiego ojca, którego we wsi wszyscy już nazywali „dziadziem“.

— Ja pana rozumiem, ja rozumiem, ale...

— Ale nie ma o czym gadać — przerwał sołtys — bo i tak rodzin rozdzielać nie wolno. Inna rzecz, że będzie z nimi trochę bałaganu, bo my tu wyznaczymy, dajmy na to, na pierwszy dzień takich a takich, a potem się okaże, że chcą jechać w innym składzie. Ale kończmy, kończmy... — powiedział spoglądając w okno — ksiądz idzie. Jest taka jeszcze sprawa: we wsi jest kilka domów, gdzie mieszkają sami Niemcy. Jak tylko z domów wyjdą, musicie wszystkie drzwi pozamykać na klucze. Ja, i dajmy na to, Modliński, pojedziemy z Niemcami jako konwojenci do Olbrzymowic, a wy tymczasem w każdym domu, w każdym mieszkaniu spiszcie wszystkie rzeczy, jakie zostały po Niemcach. Potem się klucze ponumeruje i złoży tu, w kancelarii.

Sierżant Molenda chciał się o coś zapytać, ale w tej chwili drzwi się otworzyły, wszedł ksiądz Bazarczyk. Przez parę sekund stał tyłem do pokoju mocując się z drzwiami, których nie umiał zamknąć — głowa jego i olbrzymie, czarne plecy tworzyły jedną nierozdzielną całość, jak u chrabąszcza. Wreszcie obrócił się sztywno ku obecnym i spojrzał na nich zza okularów.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki wieków — odpowiedzieli wszyscy za wyjątkiem porucznika.

— Jak widzę, trafiłem akurat na zebranie waszego zarządu — rzekł witając się z każdym.

— O, proszę księdza, jużeśmy skończyli — odpowiedział Kałuski, podsuwając mu krzesło.

Ksiądz usiadł i zgarbiony, życzliwie uśmiechnięty, przyglądał się zebranym. Ci odnieśli wrażenie, że człowiek ten tkwi w sobie, jak w żółwim pancerzu.

— To dobrze, że wam nie przeszkadzam — rzekł wreszcie — bo ja tu do was w sprawie kościelnej ziemi.

— Plebańskiej, chciał ksiądz pewnie powiedzieć — poprawił porucznik Stopka.

Życzliwy uśmiech na twarzy duchownego zgasł, w oczach odbił się pewien niepokój, niektórym zdawało się, że człowiek ten cofnął się zupełnie w głąb swej cielesnej powłoki.

— Owszem, proszę księdza — przerwał kłopotliwe milczenie sołtys — ja tu już zrobiłem wyciąg... — sięgnął do szuflady po zeszyt. — Więc tak: do plebanii należy ogółem szesnaście hektarów i siedemdziesiąt arów. Z tego...

— Proszę chwileczkę zaczekać — rzekł ksiądz przysuwając krzesło do biurka i sięgając do kieszeni po notes — pan mówi, że szesnaście hektarów i siedemdziesiąt arów...

W tym momnecie wszyscy zwrócili twarze ku drzwiom. Do kancelarii wszedł Mitręga, a za nim Niemiec Knospe — i obaj stanęli przy progu, niepewni, czy będą mogli w tej chwili swą sprawę załatwić.

— Co pan chciał, panie Mitręga? — zapytał sołtys.

Młody osadnik o twarzy bardzo chłopskiej i oczach chytrze latających, zbliżył się do biurka i wyłuszczył sprawę. Otóż w domu Mitręgi mieszkały dwie niemieckie rodziny: dotychczasowi właściciele gospodarstwa, Pietschowie i ten oto młody człowiek z żoną i dwojgiem dzieci. Sołtys obiecał Pietscha wysiedlić, a teraz Mitręga przyszedł prosić, by Knospego też odstawić pierwszym transportem, zwłaszcza, że sam Knospe chętnie się na wyjazd godzi.

— Zaczekaj pan chwilę, muszę sprawdzić, czy Knospe nie jest wpisany na listę robotników leśnych. Ale najpierw księdza muszę załatwić. Czy ksiądz już zanotował: szesnaście hektarów i siedemdziesiąt arów?

— Dobrze, już — powiedział ksiądz zaglądając do notesu — a teraz proszę mi powiedzieć, kto i ile z tego dzierżawi.

— Najwięcej Rose, to znaczy teraz Uryga: trzy hektary i czterdzieści arów. Następnie Marciniak: hektar dwadzieścia. I Mitręga, właśnie ten gość — wskazał na młodego chłopa — osiemdziesiąt arów.

Ksiądz całym tułowiem zwrócił się ku Mitrędze.

— Acha — powiedział przypatrując mu się zza okularów.

— A o co chodzi, proszę księdza — zapytał Mitręga podchodząc bliżej.

W oczach księdza znów odbił się niepokój, twarz zapadła się głębiej między barki.

— Tu, proszę was — zwrócił się do wszystkich — chodzi o majątek kościelny. Chciałbym z wami w tej sprawie pomówić, ale już nie dzisiaj. Może zbierzemy się kiedyś w niedzielę po nabożeństwie i porozmawiamy. Dziś muszę jeszcze jechać do Milanowa i do Żelaznej Wody. Chciałbym, żeby nabożeństwa odbywały się we wszystkich trzech kościołach, ale to będzie zależało od was, to znaczy od tego, czy będziecie przysyłać po mnie furmankę... Taak... — wstał i zaczął się żegnać z wszystkimi po kolei. Gdy zniknął za drzwiami, pierwszy odezwał się Mitręga.

— To on będzie nam chciał plebańskie odebrać?

— Tak to wygląda — zaśmiał się sołtys. — A co, przejmuje się pan tym?

— Ja się nie mam czym przejmować — odparł Mitręga — mnie PUR przydzielił pole razem z plebańskim i ja księdzu tego pola nie dam.

— Tak pan nie może mówić — wtrącił plutonowy Kałuski — bo to jeszcze nie jest rozstrzygnięte, czy plebańskie ma zostać przy osadnikach.

— A ja słyszałem, że tak — rzekł Stopka. — Słyszałem, że plebańskie dzierżawy nie będą zwrócone plebaniom. I to jest słuszne, bo właściwie z jakiej racji ksiądz, który teraz dopiero się tu zjawia, ma mieć akurat szesnaście hektarów, a nie, dajmy na to, dziesięć. Może dlatego, że niemiecki ksiądz miał szesnaście? To i niemieccy chłopi mieli po trzydzieści i po sto hektarów, a my po tyle nie dostaniemy.

Mitręga czując w poruczniku swego sojusznika zapalił się do subtelniejszych argumentów przeciwko księdzu.

— A na co w ogóle księdzu majątek? — zawołał. — Ksiądz niech pilnuje kościoła, a nie gospodarki bo do gospodarki jest chłop. Pan Jezus nie miał ani jednej morgi ziemi, a więcej znaczył niż bogaty ksiądz.

— Co pan za głupstwa opowiada — odpalił mu porucznik Stopka. — Pan Jezus i ksiądz! Tak jak niebo i ziemia. Ksiądz jest

(Dokończenie na str. 2)

JAN BARANOWICZ

Pogoda

Zwolna wszystko przechodzi i coraz mi prościej:
Pasje chłodną jak wieczór, kruszą się jak oścień.

Rozluźniły się węzły zabiegań jałowych.
Dość dla mnie węgła domu, pęku traw pod głową

Dość dla mnie miedzy polnej a na miedzy głogu.
I słot, co psują orkę. I stawu za drogą.

Omiotłem kąty izby z pajęczyny smutku
I stawiam kroki nowe — spokojnie, cichutko.

Na zielonym kilimie, po lnianym obrusie
Cwałują haftowane flamingi i strusie;

I słoń z trąbą i księżyc i rude pawiany: —
To senny mój egzotyk, rozpięty wzdłuż ściany.

Pojąłem ci już dawno, chociaż wyznać wstyd mię,
Żem rósł wiatrom jak sosna na pagórka wydmie;

Spokojem obwałować chcę bunty i krzyki.
Niechże mi świerszczą słowa jak pasikoniki.

Ani dbam o zgiełk ciasny miejskich autostrad,
Ani stoję o sławę, dla której Herostrat

Spalił świątynię bogom. Cichy, na uboczu,
Czerpię słodycz pogody w modre stągwie oczu.

Chlupocze czas jak woda, gdy lipiec w powodzi.
Zwolna wszystko się równa, mgławieje, przechodzi.

Jeno się cień niekiedy na oczach rozpostrze,
Żem lata całe krzywił, co było najprostsze.

JAROSŁAW ROGALA

Węzeł zatraty
Diariusz jednej podróży

Surowo-cegły i ciemno-gotycki wydaje się każdy z kościołów średniowiecza u nas, w kraju, gdzie równiny pokrywa nie twarda skała, lecz miękka ziemia.

Tak jest nawet w pełni słońca.

Któż wie, czy te same dzisiaj śniado-wiśniowe cegły kiedyś przed wiekami, gdy były wielkim wynalazkiem . nowości..., czy wtedy nie miały one barwy o wiele jaśniejszej? Może nawet odmiana ich czerwieni była niewiśniowa, ale jabłkom podobna lub czereśniom... A może wrześniowym jarzębinom?

W kraju, który kiedyś nazywano Staropolską, a który dziś jest w Nowej Polsce dopiero śląską Ziemią Odzyskaną, do jednego z takich kościołów przylgnęło wspomnienie, że...

...na wieść o piekielnikach, na wieść o napadzie synów Tartaru na świat chrześcijański, mszę odprawiono przed wyruszeniem do boju. W kościele tym zapewne byli rycerze z bitwy pod Chmielnikiem, którzy nowego wroga już gorzko zaznali, byli tam i zagraniczni goście, zakuci w pancerze, znaczone krzyżami templariuszy, jak też ledwie poznanego w Polsce Zakonu Marii Panny. Nie znano imienia wodza wrogów, nie znano kierunku jego strategicznych dróg. Spustoszone Morawy, pożoga w Śląsku od przeprawy przez Odrę pod Raciborzem aż po Wrocław. Nie zdobyły miasta lekkie, konne hordy, jeno minęły...

Z półmroku tego kościoła N. P. Marii w Legnicy ks. Henryk Pobożny wychodził na jaśń dnia. Zatrzymał się. Za chwilę miał dosiadać konia i... wtedy spod czerepic wysokiego dachu świątyni stoczył się nań kamyk, uderzył o hełm, odbił się o naramiennik i potoczył schodami...

— Zła wróżba! — zmartwiałym poszeptem przeszło przez naoczne rycerstwo.

Książę dosiadł rumaka, powiódł wojsko na nieznanego, dzikiego wroga... Przeciw zachodniemu, prostemu rycerstwu chrześcijańskiemu piekielnicy Tartaru rzucili mylące okrzyki trwogi, wystawili straszydła na konie, buchnęli kłębami smrodliwych dymów, a nade wszystko, cofnąłszy środek swego szyku, objęli śląskie wojsko w mordercze kleszcze.

Przewaga liczby, przewaga manewru, zgranie dowodzenia dały zwycięstwo hordzie wodza zwanego Kajdu.

Polegli rycerze rodzimi i posiłkujący przybysze, polegli chłopi miejscowi i górnicy ze Złotoryi, poległ sam książę, na którego... stoczył się kamyk.

Uciętą głowę książęcą obnosili barbarzyńcy o wypukłych policzkach wokoło murów niezdobytej jednak Legnicy... Smukła dzida potrząsała pobladłą głową złowieszczo. Nagle napastnicy odeszli ku Węgrom, gdzie poniósł całą grozę swej potęgi straszliwy Batu-Chan, którego światoburczym natchnieniem był Wielki Dżyngis-Chan Temudżin.

Na pobojowisku ks. Anna, wśród obdartych poległych, rozpoznała rycerskiego męża po lewej nodze. Miał na niej... szósty palec.

Dziś na to złe pole wskazuje zwykły żółty drogowskaz, gdy wyjeżdża się piękną szosą z Legnicy na Jawor. Drogowskaz nazywa uparcie, jak przeszło 700 lat temu ludzie tych stron, jak przed ową bitwą i dawniej jeszcze, wioskę, tam dziś założoną: Dobropole. Wówczas tam nie było wsi, jeno samo, żyźnie rodzące, dobre pole.

Hordy przeminęły. W Polsce pamięta się ów rok, zbawczy dla reszty Europy. Rok przed tym nie powstrzymał hord sam złotobramny Kijów.

* * *

Wolno jadąc drogą, pobitą pociskami dział z ostatniej wojny, kierujemy się na starodawny Lubiń. Lubiń tak samo bratnio jest nazwany jak ten między Kościanem a Gostyniem w Wielkopolsce, gdzie ponoć w klasztorze O. O. Benedyktynów miał umrzeć któryś z pierwszych naszych kronikarzy.

Drogę przebiega nam łasiczka, bystra, zwinna.

Pobite domy stoją wzdłuż drogi. Już do kilku z nich dobiera się odnawiające życie osadnicze.

W samym Lubiniu stary kościół ciemni się swoją dawną cegłą, a wewnątrz odnawiają go na świeżo-biało.

Pewno na tymże miejscu stał ów dwunastowieczny kościół, który wraz z miastem spalili husyci.

Pędzimy wrocławską szosą, ale nie na Wrocław. Na północny-zachód: ku Szczecinowi. Szosa jest dobra.

W prawo strzelają odgałęzienia dróg ku grodom Odry, na Głogów, na Ścinawę. Głogów powtarzają drogowskazy aż hen, do Nowej Soli.

W lewo biją kierunki: Szprotawa, wypalonym borem pachnący Żegań, kozi czy barani Kożuchów.

Nazwy tych starych osiedli czy grodów wzniecają wspomnienia o bujnych Piastowiczach śląskich średniowiecza. Oblegają się, waśnią, pustoszą. Brat na brata. Zacięci tak, że jeden, najgorszy z nich, Rogatka, Ziemię Lubuską sprzedał Brandenburczykom, aby zdobyć środki na dzikość przeciwbraterską.

Jedni więzią drugich: tenże Rogatka cztery lata trzymał w Legnicy Probusa, złapawszy go śpiącego we wrocławskim zamku, synowie Konrada Głogowskiego, urągliwie trzymali pół roku w beczce Henryka Otyłego, aż wymusili na biednym, ale dzielnym, grubasie terytorialne zrzeczenie się i ciężkie, srebrne grzywny. Klątwa papieska nie raz zawisała nad gwałtownikami, którzy odbiegali od pamięci Pobożnego, poległego w ofiarnym boju.

Lepsi, gorsi, samowolni i odważni, chciwi lub rozrzutni, a swojacy, a zawzięci, jak lud śląski, zaznaczyli się na tej ziemi książęta-Piastowicze, upadający w swej małości, a przecież do ostatka czujący z Polską, w Polsce szukający oparcia. Poświęcili ich Jagiellonowie, którzy patrzyli za bogatymi ziemiami wschodu, a nie przeczuli złóż kruszców w łonie tych pól, z których po 7-letniej wojnie zaczął ciągnąć soki gad imperializmu pruskiego, gad, który o te ziemie oparł potem swój przemysł, ożeniony z zachłannością szkół junkierskich.

Jagiellonowie tylko raz po raz dla podtrzymywania związków krwi słali córki za żony tym Piastowiczom jak i północnym, pomorskim. A i ci też nieraz wiązali się między sobą, albo z rządcami Wschodniego Pomorza, choć z tymi wydarzyło się i niefortunnie. Czy tę XIII-wieczną historię pamiętacie?

Bolesław Łysy-Rogatka, legnicki książę, miał za żonę Adelajdę, córkę Sambora II, ks. lubiszewsko-tczewskiego. Był to przecież władca-zbój. Grabież, gwałt, ucisk były zabawą jego rogatej duszy. Choć Niemcami się otaczał, samych Niemców śmieszył łamaniem ich mowy. On też z tymi oprychami spalił kościół z ludźmi w Śląskiej Środzie, gdy wojował z bratem, ks. wrocławskim i buszował po jego dzielnicy. Dla żony musiał być nie lepszy, bo — jak podaje Kronika Kromera — „wszetecznością gamracką męża przeniewierzonego obrażona, pieszo do domu ojcowskiego odeszła“.

Szła smutna biedaczka tą właśnie drogą może...

Et, chyba pierwszy lepszy rycerz, widząc damę w poniewierce, grzecznie jej piesze drogi na konne zamienił.

Droga bije wprost ku północy. Dąży wciąż w tym kierunku, tylko co uskok posuwa tę linię ku zachodowi, coraz to ku Odrze... Czuje się ją cały czas w bliskości, nie dotykamy się jednak nigdzie. Dopiero teraz jest tuż z prawa, ale nie przejeżdżamy jej jeszcze. Drogi niechętne są wodom.

W Nowej Soli rynek jest szerszy. Stoi tam Hotel „Piast“, jak w Legnicy koło dworca.

Z rozmaitości charakteru sklepów znikł już obecnie komis, gdzie bywało wszystko: rzeczy zdobyczne żołnierzy, „szaber“ osadników i likwidacyjna wyprzedaż wysiedlanych Niemców. W tych samych oknach wystaw jawią się teraz „zjawiska“ damskiej galanterii lub rzeczy męskie.

Spędzamy z drogi stadko gęsi i kilka białych kóz. Nie nęci nas droga ku Krosnu n/O., ani na Gubin, gdzie, ponoć, pełno kwiatów i wiele ruin. Jedziemy jasno, w słońcu ku Odrze.

Cigacice — sama etymologia nazwy wróży przejście, jak Sworginać między Przechlewem a Brusami na bydgoskim Pomorzu, jak Gać pod Słupskiem.

Most drogowy jest wysadzony w kilku miejscach, a prowizoryczny zmył lody i powódź tej wiosny.

Zjeżdżamy na niski, płaski brzeg. Nad rzeką leżą stosy faszyn. Już jest prom.

— Chwała Bogu, że chodzi — mówi szofer.

— Trzeba było objeżdżać — przypominam sobie wrażenia z kwietnia ub. roku — aż na Krosno-Świebodzin.

Prosty prom ma drukowaną taryfę, wywieszoną nad burtą.

— Czy krowy bez trudności wchodzą? — pytam mężczyznę z obsługi, odrywając oczy od wykazu cen.

— A ino — odpowiada — wieczór idą same, a rano, jak je wyżeną.

— A pan Ślązak? — pytam.

— Tak, z Górnego — pada odpowiedź.

„Wyżeną“ zresztą odpowiedziało za niego.

Już lądujemy gwałtownym zrywem przez drewniany próg promu, który wyzyskuje prąd rzeki. Stare to miejsce brogów i przepraw. Niejedno tędy się przewaliło.

W Sulechowie osadnicy, odwiecznym zwyczajem przesiedleńców, przyniesione wspomnienia dawnych swych siedzib rozplakatowali po szyldach, przede wszystkim knajp. A więc: „Podlasianka“, a więc „Jagielniczanka“, w Kalsku natomiast restauracja po warszawsku zwie się „Ziemiańska“.

Najbliższy drogowskaz głosi „Smardzewo“. Przypomina się Smardzko koło Ząbrska białogrodzkiego powiatu, w Szczecińskiem. Niegdyś po tych wsiach, w śmierdzącej chyba biedzie, trzymano zdobycznych z wypraw niewolników. Tani robotnik skoszarowany w osiedlu.

Równinę obramowują lasy. Czasem przy drodze kurtynka akacji, jak za Lubiniem była wstęga bogato-czerwonolistnych, niby wino, klonów.

Wiatrak z lewa. Skręt łagodny w prawo. Jeszcze raz drogowskaz na Smardzewo.

Klaksonem zdmuchujemy z drogi rowerzystów.

Za rowem buraki. Dróżnik Nr 4 pracuje na brzegu asfaltu. W polach orki.

Wiatr na otwartej szosie. Spycha auto. Trzeba wytrwale trzymać kierownicę.

Prosta... Prosta...

Drogę liczono na dal. Krócej ciągnięto linie. Wrak, niegdyś granatowej, limuzyny bezradnie siedzi w chwastach. Naprzeciw jadą wozy wieśniacze.

Prof. Brückner twierdzi, że „dęga“ to znaczy tęcza i że zaprząg ten z Polski przyszedł na Ruś i Litwę. Potem w Polsce samej przyjęto zachodnie zaprzęgi i zapomniano o tęczowych spojeniach hołobli. Może to i prawda?...

Dziś dęgi i białe chustki „w ciapki“ znaczą osadników z Wileńszczyzny. Jadą wózki jedne za drugimi, wspominają takie same brzózki, jak te, co obrastają śląskie asfalty. Brzozy są białe, cielesno-ludzkie. Jest oczywiste, że rodzą uczucia.

Drepcze ku nam stadko. Krowy przeważnie tutejsze, ale te czarne owce są na pewno ze wschodu. Jakaś poczciwa krasula zastawia nam drogę. Szofer mija ją powoli, uważnie. Bezzęba baba z gałęzią w ręku śmieje się doń:

— Dziękuję — kłania się — taka głupia żywioła...

Wlatujemy w gminę Jordanów. Dobrze już widać dwie wieże Paradyżu. Zanim go jednak dopadniemy jest jeszcze strumyk, niegdyś graniczny. Na nim leżały wieki wrogiego rozdziału tych sąsiedzkich osiedli, wieki byłej Brandenburgii. Dzisiaj to jedność, choć pozostała różność gmin. Tyle tylko.

Klasztor w Paradyżu stoi tuż przy drodze. Jasno widać jego masywny ogrom, a jednak jego narożne wieże zgrabnie kończy waza. Cały ciężar wielkiej budowli od tego subtelnego wzoru aż lekki! Mistrz rokokowy tchnął taką drobnostką polot piękna.

Za bramą w bocznej oficynie siedzi posterunek M. O. Ponoć już mają rozkaz przenieść się do Kalawy. Tymczasem się nie śpieszą.

Błąkamy się po korytarzach i salach kiedyś cystersów, potem semimnarzystów, wreszcie niemieckiego żołdactwa.

Spotykamy salezjanina. Więc są następcy po tych, których osadził polski wielmoża, Bronisz herbu Pomian.

Natykamy się na wielki obraz, zaraz w nawie klasztornego kościoła. Mimo przebudowy całej świątyni, obraz ten wmontowany był w ocalały gotycki łuk. Teraz chwilowo zdjęty. Wszędzie tu odbijano tynk. Są blade, stare freski. Obraz przedstawia scenę nadawania włości białym cystersom,

(Dokończenie na str. 3)

Co robią Niemcy

Przegląd dziesięciu periodyków niemieckich czyli podróże między odwagą reformatorską a mistyczną apoteozą antyku i średniowiecza

Poniższy przegląd dziesięciu periodyków niemieckich ma na celu najpobieżniejsze chociaż zapoznanie z pismami, które na tym miejscu dotąd ani nie były cytowane ani w inny jakiś sposób omówione. Będzie to tylko mały przyczynek do poznania bogatej prasy periodycznej powojennych Niemiec. Przedstawiamy poniżej niektóre pisma specjalne.

pädagogik

Podtytuł pisma: „przyczynki do nauki o wychowaniu“ jest na ogół wiernie zrealizowany. Pismo ma szczególnie dobrze rozbudowany dział informacji o wychowaniu i szkolnictwie w innych krajach. W n-rze z września 1947 Hans Espe pisał o reformach w dziedzinie szkolnictwa i wychowania we Francji i Polsce, dodając, że reformy polskie mogą stanowić bogate źródło doświadczeń i inwencji również i dla pracy kształceniowej na terenie Niemiec. Skala tematów w miesięczniku tym, ukazującym się w Berlinie w Volks und Wissen Verlagu, jest rozległa — od opisu metod wychowawczych u narodów pierwotnych po sprawozdanie z drugiego pedagogicznego kongresu niemieckiego, radzącego nad sprawą demokratycznej reformy szkoły. Pismo postawiło na wysokim poziomie dział sprawozdań z literatury pedagogicznej. Charakterystyczną cechą pisma jest konsekwentne stosowanie unowocześnionej pisowni niemieckiej, polegającej na pisaniu rzeczowników małą literą.

Demokratiſcher AUFBAU

Pismo poświęcone odbudowie na wsi, w powiecie i w gminie, jak głosi podtytuł, zajmuje się zagadnieniami prawnymi i administracyjnymi instytucji samorządowych. Interesują je jednak wszystkie inne ważne zagadnienia życia gospodarczego, społecznego i politycznego, jak sprawa demokracji, walki ideologiczne w Europie, kształcenie narybku nauczycielskiego, ustrój wielkiego Berlina, budżety strefowe, denazyfikacja, zdrowie publiczne itp. Jest to zatem podręczna encyklopedia współczesna dla samorządów, zredagowana nader przystępnie. Ukazuje się w Berlinie.

DIE VOLKS: BÜHNE

Redaktorem pisma jest aktorka i pisarka Inge von Wangenheim. Jest ono organem teatrów ludowych, którym ma służyć radą i uświadomieniem w sprawach ideowo-politycznych demokratycznego teatru niemieckiego. Przed wojną związek teatrów ludowych w Niemczech liczył pół miliona członków. Związek miał na celu ścisłe związanie szerokich mas z teatrem przez rezerwowanie dla swych członków miejsc na przedstawienia i organizowanie z nimi dyskusji na temat teatru. Teatr — mówi credo pisma — składa się nie tylko z kulisów, gwoździ, materiału, świateł i szminki, — dopiero wypełnienie tych rzeczy treścią socjalnych funkcji życia i kultury nadaje im prawo istnienia. Przedstawienie teatralne jest w tej płaszczyźnie wspólnym twórczym i intelektualnym dziełem artystów i publiczności. Pismo i związek nie mają tych celów, które u nas zawiera pojęcie teatru ludowego, im chodzi o teatr ludu, o wiązanie materialne i ideowe szerokich mas ze sztuką przeznaczoną dla nich, ale wygraną przez najlepsze czołowe siły artystyczne.

BERLIN
DANIA
KILONIA
ROSTOK
KOSZALIN
HAMBURG
SZCZECIN
BREMA
WITTEMBERGA
OLDENBURG
BERLIN
Warta
POZNAŃ
HOLANDIA
MÜNSTER
HANNOWER
MAGDEBURG
POLSKA
Odra
DÜSSELDORF
KOLONIA
KASSEL
LIPSK
DREZNO
LEGNICA
BELGIA
ERFURT
FRANKFURT
CZECHOSŁOWACJA
LUKSEMBURG
KAISERSLAUT
TRIER
SAARBRÜCKEN
LANDAU
NORYMBERGA
RATYZBONA
STUTTGART
KEHL
Dunaj
ULM
FRANCJA
FRYBURG
MONACHIUM
SZWAJCARIA
AUSTRIA
NIEMCY
KOPALNIE WĘGLA
PRZEMYSŁ METALURGICZNY
KOPALNIE RUDY ŻELAZNEJ
PRZEMYSŁ SAMOCHODOWY
MASZYNOWY
ZBROJENIOWY
ŹRÓDŁA NAFTOWE
PRZEMYSŁ CHEMICZNY
SZKLANY
WŁÓKIENNICZY
TERENY INTENSYWNEJ UPRAWY ZBÓŻ

Mapa przemysłowa Niemiec

Die Versorgung

Ten urzędowy organ dla całej gospodarki zaopatrzeniowej, dla handlu, rzemiosła i spółdzielni, jest niezwykle pasjonującą lekturą, mówiącą całą prawdę o życiu niemieckim. Czy to chodzi o zaopatrzenie ludności w materiały tekstylne i skórzane, czy o zbiór buraków cukrowych i produkcję cukru czy wreszcie o planowanie cen w przemyśle konserwowym, wszędzie otrzymujemy ciekawy źródłowy materiał, dający podstawę do dokładnych studiów nad położeniem gospodarczym Niemiec. Wyłącznie praktycznym celom służy dział rozporządzeń urzędowych, okólników i rozkazów regulujących zaopatrzenie ludności. Pismo powinno być udostępnione ekonomistom polskim. Ukazuje się w sow. sektorze Berlina.

NEUE JUSTIZ

Prawnicy polscy znajdą w powyższym piśmie wiele ciekawych materiałów dotyczących ustroju sądownictwa i reform prawnych w Niemczech; z najciekawszych artykułów wymienić należy przede wszystkim prof. Alfonsa Steinigera rzecz o statucie okupacyjnym. Pismo omawia wszystkie nowe ustawy, organizuje dyskusje prawnicze, rejestruje i omawia nową literaturę prawniczą, słowem stanowi dokładny komentarz do życia prawa w powojennych Niemczech.

BERUFSBILDUNG

Kształcenie zawodowe jest celem tego miesięcznika, który rozwiązuje problemy zarówno od strony teorii, poważnej wiedzy jak i od strony praktycznych wskazówek i zapisków. Pismo zamieszcza często wiadomości o kształceniu zawodowym w innych krajach a szczególnie w Rosji Sowieckiej. Opowiada się ostro za reformami, propagowanymi przez komunistów niemieckich w strefie wschodniej. Z kroniki dowiadujemy się, że w marchii brandenburskiej 95 proc. młodzieży od lat 14 do 18 uczęszcza do szkół zawodowych.

DIE Arbeit

Znany przywódca robotników Hans Jendretzky jest współredaktorem tego „miesięcznika teoretycznego“, wydanego przez wolny związek niemieckich związków zawodowych. Ideowo związany mocno z marksizmem, nawiązujący często do robotniczych wzorów sowieckich, redagowany jest nadzwyczaj żywo, zwłaszcza w drugiej sprawozdawczej części, zawierającej glossy z życia związków zawodowych w całych Niemczech (specjalny dział: międzystrefowa współpraca niemieckich związków zawodowych), z życia zagranicznych związków zawodowych, glossy na temat nowych książek i dział polemik oraz przegląd prasy z cytatami.

Statiſtiſche Praxis

Centralny urząd statystyczny wydaje ów miesięcznik, nadzwyczaj żywy w treści i nie ograniczający się jedynie do mechanicznej statystyki, ale uczący korzystać ze statystyk i poszerzający jej zakres działania i znaczenia (np. art. o zwycięskim pochodzie statystyki na terenie nauk przyrodniczych, o przemianach funkcji w statystyce). Cennym dodatkiem do pisma są stałe wzory statystyczne, słownik czterojęzyczny terminologii statycznej a przede wszystkim kartony statystyczne dot. Niemiec, których pełny zbiór da najwszechstronniejszy obraz życia niemieckiego. Ukazuje się w Berlinie.

EUROPA-ARCHIV

To archiwum polityczne, wydawane we Frankfurcie nad Menem zajmuje się jak głoszą poszczególne działy, problemami historycznymi i współczesnymi polityki światowej, gospodarki, dokumentacją polityczną (ogłasza teksty międzynarodowych układów, not, statutów, konwencji itp.), sprawami kultury oraz dokładną kroniką kulturalną, polityczną i gospodarczą, podaną w układzie chronologicznym. Z opublikowanych tu artykułów na wyróżnienie zasługuje rzecz o rozwoju gospodarczym w strefie sowieckiej od czasu konferenc. poczdamskiej. Artykuł wskazuje, także i we wnioskach, na samowystarczalność tej strefy oraz na jej bezwzględnie lepsze zagospodarowanie, stojące już w tej chwili na poziomie przedwojennym, niż to się udało w strefach zachodnich.

Pismo ma wysoką wartość jako zbiór materiałów i dokumentów do życia politycznego i gospodarczego Europy.

Neues ABENDLAND

Spokojna choć wytworna okładka ukazuje w swym naczelnym godle ornamentacyjnym dwie głowy, antyczną i średniowieczną z krzyżem. Pismo ma służyć „polityce, kulturze i historii“ ale służy przede wszystkim polityce, nawet w tematach kulturalnych. Polemice wręcz służy „czarna tablica“ pod koniec numeru, na której umieszcza się wszystko, co ma związek z Europą wschodnią. A oto tytuły artykułów mających służyć „odbudowie nowego zachodu“: Człowiek zachodni, Wychowanie twórcze czyli o planie szkolnym w północnych Niemczech, Gimnazjum z językami nowożytnymi, Twórczość humanistyczna a kultura europejska, Humanizm w średniowieczu, Umieranie i istnienie itd. Bawarski ten miesięcznik, ukazujący się pod opieką władz amerykańskich, stara się wpływać na reformę szkolnictwa, prowadzoną rzecz jasna w zupełnie innym kierunku, niż to się czyni w strefie wschodniej Niemiec.

WISZ

Narada czyli sąsiedzkie życie

(Dokończenie ze str. 1)

urzędnikiem, jest takim samym człowiekiem jak każdy inny, ma wydatki i pieniądze też musi mieć. A ja jestem pewny, że jakby księdza trzeba było utrzymać, to pan pierwszy nie dałbyś mu ani grosza.

— Właśnie, właśnie — przytaknęli Kałuski i Opaliński.

— Ja nie mówię — bronił się Mitręga — żeby księdzu nie płacić. Ale na co mu pole? Niech lepiej rząd wyznaczy mu miesięczną pensję.

— Masło maślane. Czy to nie wszystko jedno, co mu rząd da, pieniądze, czy pole? Tu chodzi tylko o to, ile ma dostać i ja uważam, że zamiast szesnastu hektarów wystarczy mu dziesięć.

Umilkli i zapalili papierosy. Teraz sołtys zwrócił się do Mitręgi.

— Co do tego Niemca, to nie da się nic zrobić. Na razie musi zostać, bo leśny Gurda go potrzebuje, już go wciągnął na listę drwali. A czemu się go pan tak koniecznie chce pozbyć?

— Bo ja myślałem, że zostanie u mnie, ale skoro będzie robił w lesie, to sobie na wikt zarobi.

— Pewnie że zarobi. Przecież on na całą rodzinę kartki żywnościowe dostaje. A jego baba też może coś zarobić, teraz wiosna, roboty będzie dosyć. No, panowie — powiedział, zrywając się z krzesła i składając papiery — więc zbieramy się w niedzielę rano o godzinie ósmej i podzielimy sobie robotę. A ja teraz jadę do gminy. Widzieliście mój motocykl? Maszynka jak cacko!

Poczęli wychodzić na drogę pełną słońca i wiosennego szumu wody w potoku. Na placu przed szkołą ukazał się brat Stopki, Józef, który niedawno przyjechał z Polski centralnej. Młodszy od porucznika, ale równie postawny, nie miał jednak w sobie nic z wytworności brata, buchał po prostu wiejskością i niedźwiedzią siłą.

— Chodźno tam — — zawołał z daleka do brata wskazując głową w kierunku domu — bo Niemiec nie chce jechać z gnojem! Pewnie czeka, żebyś go poprosił.

Opaliński spiesząc na Pustkowie szedł jakiś czas z Mitręgą i Knospem. Niemiec był drobnego wzrostu, o twarzy okrągłej i ciemnej, zupełnie pozbawionej cech nordyckich.

— Czemu pan tak koniecznie chce jechać do Niemiec? — zapytał go Opaliński.

Niemiec rozłożył ręce.

— A co ja tu będę robił? Wcześniej, czy później i tak będę musiał wyjechać, to już wolę teraz. Łatwiej tam pracę znajdę.

— A czym pan z zawodu?

— Ja szofer. Pracowałem we Wrocławiu, a gdy się wojna skończyła przyjechałem tu z żoną, bo tu są jej rodzice. Ogrodnik Volkmer, to jej ojciec.

Teraz Opaliński przypomniał sobie, że zna żonę Knospego; jest to przecież Niemka, która swym uderzającym podobieństwem do „lagerführerki“ Schadewitz tak przeraziła Genowefę.

Mitręga całą drogę szedł w milczeniu i dopiero przed samym domem się odezwał.

— Panie Opaliński, wy mi tam bez łąkę chodzicie. Jak będziecie ciągiem tarasić, to trawa nie urośnie.

Opaliński spojrzał na Mitręgę raczej z podziwem, niżeli ze zgorszeniem. Tak, to prawda — przechodził ostatnio dwa lub trzy razy przez łąkę, wcale jednak nie pomyślał, że to może zaszkodzić trawie, która jeszcze nie zaczęła się zielenić, po wtóre zaś podświadomie łąkę tę zawsze kojarzył z nazwiskiem Niemca Pietscha, a nie Mitręgi — nie pamiętał o tym, że to już Ptakowice, a nie Vogeldorf. „No, no — pomyślał — zaczyna się we wsi normalne, sąsiedzkie życie“.

Henryk Worcell

STANISŁAW BĄK

Notatnik językoznawcy

Geografia nienawiści

Sprawa krótszego, czy dłuższego istnienia gwar polskich na Dolnym Śląsku jest już od dość dawna przesądzona. Nieuchronna zagłada groziła im pod obuchem rządów niemieckich, które wszelkimi środkami dążyły do wyniszczenia innych narodowości, skazanych przez los na życie w obrębie Rzeszy. Coraz to nowe postępy czyniła tu wojująca niemczyzna, coraz głębsze szczerby wybijano w zwartym jeszcze trzonie ludności polskiej. W rezultacie język polski utrzymał się tylko w części powiatu sycowskiego i północno-wschodniej namysłowskiego (nie mówiąc o kluczborskim, który też niegdyś należał do Śląska Dolnego). Jedynie wschodnia część Sycowskiego ocalała przed germanizacją, gdyż w roku 1919 przyłączono ją bez plebiscytu do Polski. Na reszcie obszaru, tj. częściowo w Sycowskiem, w zachodniej części powiatu namysłowskiego, w brzeskim (po prawym brzegu Odry) i na skrawku oławskiego, a nawet oleśnickiego ludność, mówiąca po polsku, żyła już w znacznym rozrzedzeniu, choć bynajmniej nie wyginęła, czego najlepszym dowodem jest fakt, że część jej przetrwała tam do dziś dnia.

Ale i zmiana przynależności politycznej już nie na długo uratuje sytuację. Mowie śląskiej grozi tu zupełna niwelacja, tym razem ze strony elementu polskiego. Dialektem śląskim mówią (i jeszcze jakiś czas mówić będą) starcy, których jest bardzo niewielu. Ludzie w średnim wieku przejmą już wiele cech od nowych osadników, którzy tu przybyli z innych stron, głównie ze wschodu Polski. Młodzi i dzieci będą mówić już takim właśnie nowym dialektem, za którym z pewnością tylko w słabym stopniu zarysuje się ta, czy owa cecha narzecza śląskiego 1).

Kronikarze zaniku

Że perspektywa zaniku mowy polskiej na Śląsku Dolnym jest już od dłuższego czasu wyraźna, o tym wiedzieli zarówno przedstawiciele nauki polskiej, jako też niemieckiej. Dziwne tylko, że wobec takiej sytuacji tak mało dla zbadania tych gwar zrobiono. Zastanawiać to może szczególnie w odniesieniu do nauki niemieckiej, mało bowiem jest zagadnień, których by Niemcy nie próbowali rozwiązać. Tymczasem na teren i ten problem został przez nich zupełnie zignorowany.

Nie można uważać za rozwiązanie sprawy pracy pastora protestanckiego w Międzyborzu (w Sycowskiem) R. Fiedlera: „Bemerkungen über die Mundart der polnischen Niederschlesier. Ein Beitrag zur Kenntnis der polnischen Dialekte“. Wyszła ona przed stu laty (1844). Fiedler znał praktycznie gwarę śląską, znał język kulturalny, ogólnopolski, wiedział też o pewnych zjawiskach dialektycznych z innych stron Polski (np. o mazurzeniu z okolic Warszawy i Krakowa). Ale nie dał opisu jednej, konkretnej gwary dolnośląskiej wsi. Przekazał kilka cech fonetycznych i pewną ilość morfologicznych oraz szereg szczegółów słownikowych, których dokładniej zlokalizować się nie da, poza ogólnym stwierdzeniem przynależności do Śląska Dolnego, co oczywiście nie znaczy, żeby te cechy istniały tylko na Śląsku Dolnym.

W rezultacie dopiero pewne ścisłe wiadomości o gwarach Dolnego Śląska zawdzięczamy badaniom prof. L. Malinowskiego i prof. K. Nitscha (te ostatnie miały miejsce w roku 1906 1).

Trochę przykładów, które należy przeczytać cierpliwie, bo poprzedzają one dalsze ciekawe rozważania i uwagi

Trzeba stwierdzić, że językowej granicy między gwarami Śląska Dolnego i Opolskiego pociągnąć się nie da. Śląsk jest krainą przejściową, łączącą Wielkopolskę i Małopolskę. Toteż w mowie Ślązaków ujawniają się wpływy obu tych dzielnic. W jednym wypadku cechy wielkopolskie wciskają się głębiej na południe, to znowu małopolskie sięgają daleko na północ i zachód.

Dolny Śląsk wykazuje zupełnie te same cechy, które istnieją na Śląsku Opolskim. W szczególności należą tu:

1) mazurzenie, tj. wymowa **syja, zytoe, cysty** zamiast: **szyja, żyto, czysty**;

2) zastąpienie ł przez głoskę podobną do **u** (tzw. **u** niezgłoskotwórcze): **uawa, uapać** (zamiast **ława, łapać**);

3) zanik **ł** po spółgłosce a przed samogłoską tylną: **chop, gowa, dugi, gupi** (zamiast: **chłop, głowa, długi głupi**);

4) zdarzająca się niekiedy wymowa **rż** (zamiast ogólnopolskiej **sz, ż**), np. **Wytrszil** (nazwisko);

5) pojawianie się dźwięcznego **h** na początku wyrazów przed spółgłoską i między samogłoskami (**hruby, pahouek**);

6) udźwięcznienie końcowej spółgłoski zwartej i szczelinowej jednego wyrazu przed dźwięczną następnego, a więc nie tylko ogólnopolskie **chob, wysoki, paz, duży**, lecz także zachodnio-południowo-polskie: **paz, mamy, chob idzie, kod uapie** itp.;

7) zastępstwo dawnego **a** długiego przez dwugłoskę **ou, óu** (**ptouk, ptóuk**);

8) ścieśnienie **e** długiego w głoskę, zbliżoną do **y** (**biyda, mlykoe**);

9) przejście **eł** w **ou** (**poleny, pełny, wouna, wełna**);

10) następstwo **ł** po **rz** (**przichodzić, Wytrszil**);

11) wymowa końcowego — **ił, — iła, — ył, — yła** w postaci — **óu, oua, — óu, óua** (**robióu, chodzióu, robióua, chodzióua, cieszóua**).

Z morfologicznych właściwości wymienić można: 1) używanie końcówek w dop. i celowniku l. poj. rzeczowników męskich w innym nieco rozkładzie (**śniega, deszcza pugu, pługa; psowi końcu**);

2) końcówka **e** w dop. l. poj. rzeczowników żeńskich na **a** z tematową spółgłoską miękką (**prouce, pracy**);

3) dość daleko idące wyrównania morfologiczne np. **sercy — serco** (zamiast **serce**) **poly — pole**, w mian. l. mn. rzeczowników męskich: **jasiynly, jelynly** itp.

4) W zakresie koniugacji na uwagę zasługuje końcówka — **ma** w rozkaźniku l. mn. czasu teraźniejszego 1. os. (**pijma**);

5) pojawianie się w 2 os. l. mn. czasu teraźniejszego końcówki — **ta** (**robita**);

6) forma czasu przeszłego i trybu warunkowego z końcówką aorystyczną — **ch** (**byuech, robióuech**).

Sposób słownikowych cech łączy Śląsk Dolny z resztą forma **jegua** — igła, która w części Śląska między Pszczyną, Gliwicami a Brynicą i Przemszą ma postać (j) **igua**, jak w innych gwarach Polski).

Izofony te wykazują ścisłą łączność Śląska Dolnego ze Śląskiem Opolskim. Ale istnieją też właściwości, których linie zasięgu dzielą obszar Śląska Dolnego na dwie części.

Jedną z nich jest wymowa ę śródgłoskowego. Na znacznej części Śląska wartość ustna tej głoski uzależniona jest od charakteru poprzedzającej spółgłoski. Jeśli to jest spółgłoska twarda, wówczas ę brzmi szeroko, w postaci **a nosowego** (**gąś, zamby**), jak w wyrazach **awaus, kwadraus**. Po miękkiej zaś jest to y **mosowe: miy, soe, piynta**. Tak jest na całym prawie Śląsku od Raciborza i Gliwic na północ (z wyjątkiem Kozielskiego, gdzie jest wszędzie **ą: gaś, miąso**).

Ale we wschodnio-południowej części Śląska (Gliwickie, Pszczyńskie) ę śródgłoskowe brzmi w postaci głoski wąskiej (**y**): **zymby, gyś**. Tak jest też w Sycowskiem (z wyjątkiem Trębaczowa).

Jest to zgodne ze stanem, istniejącym w Wielkopolsce.

Z tą sprawą wiąże się także wymowa — ę końcowego, które na całym Śląsku z wyjątkiem południa (tj. Cieszyńskiego) i południowo-zachodniego pasa na pograniczu śląsko-morawskim ma wymowę szeroką. Gdy jednak prawie wszędzie nosowość tej głoski się zachowała (zanikła jednak np. w Radawiu, w powiecie oleśnieńskim), to np. w środkowo-południowo-wschodniej części Śląska brzmi ono w postaci — **a** (**widza ta krowa**). Podobne stosunki wykazuje również Sycowskie.

Wreszcie trzecią linię, która odcina Sycowskie od reszty Dolnego Śląska, jest rozwój końcowego — **ą** w — **óm**, a zaś **om**, — **am** w **ó** (**krowóm** krową ale **nó** nam, **ludzió**, ludziom).

Istnieją ponadto pewne cechy, które wyodrębniają Dolny Śląsk wyraźniej od reszty obszaru, chociaż samodzielności pod względem językowym mu nie nadają. Jest to dyftongiczna wymowa dawnego o długiego (**wóyz, dóym**). Obejmuje ona powiat brzeski, północno-zachodni skrawek opolskiego i prawie cały kluczborski, który dawniej wchodził w skład Śląska Dolnego.

Drugą cechą jest dyftongizacja o krótkiego, częstsza i wyraźniejsza na końcu wyrazów, niż w środku: **duchuewny, po poelsku, uchae — uchue, bydue, tue — toe** itp.

Obie te cechy wiążą Śląsk Dolny z gwarami wielkopolskimi.

Psychologia bojaźni

Brak dotąd z tego terytorium monografii gwarowej. Praca prof. Nitscha uwzględnia Śląsk Dolny tylko w ramach całości Śląska. Stąd nie może mu ona poświęcać tyle uwagi, co w studium specjalnym. Jest to pierwsza praca, omawiająca właściwości gwarowe Dolnego Śląska na sposób ścisły i obiektywny.

Nauka niemiecka zajmowała się dużo zasięgiem języka polskiego, jego granicą na zachodzie. Ale te dociekania nie wyszły właściwie od zawodowych językoznawców. A przecież Śląsk Dolny mogli najłatwiej zbadać uczeni niemieccy, bo mieli do niego zawsze swobodny dostęp.

Jeżeli jednak tego nie zrobili, to dlatego, że albo nie chcieli, albo też (w ostatnich czasach) i oni nie mogli. Być może, że dla wielu z nich był to problem zbyt mały i błahy, by się zajmować mową, która dla Niemca jest czymś obcym, przy tym mową ludzi należących nie do rasy „panującej“, lecz „niższej“. Możliwe, że ten i ów, na podstawie znajomości urzędowego opisu ludności, wiedział, że tam już nie ma kogo badać. Ignorowanie tego obszaru zdawało się tym silniej podkreślać fakt, że tam już Polaków nie ma.

A nie jest też wykluczone, że wobec szaleństwa antypolskiej propagandy bano się tego problemu tykać, szczególnie właśnie na Dolnym Śląsku, który w pojęciu Niemca był nie tylko czysto niemiecki, lecz nawet „praniemiecki“, by potem nie dawać broni do rąk Polakom, jak to było w 1918 roku z mapą J. Spetta. Bo trudno uwierzyć, żeby poważni, ostrożni i krytycznie nastawieni uczeni (a tacy w Niemczech też byli) dali się zasugerować wynikami spisu urzędowego. Przecież cyfr, podanych przez statystykę niemiecką nie brał na serio nawet osławiony „Bund Deutscher Osten“ i na użytek własny, wewnętrzny miał swoją ściśle tajną statystykę, inną zupełnie, choć także niezupełnie obiektywną.

Gdy więc członkowie takiej organizacji nie dawali oficjalnym wykazom wiary, tym bardziej nie mogli się tu łudzić zawodowi uczeni. Mogli przypuszczać, że — mimo wszelkich dowodów i świadectw — także na Dolnym Śląsku jakieś resztki polskiej ludności pozostały. A wobec faktu, że mowa polska była tu już na wymarciu, instynkt tym bardziej powinien był skierować uwagę badaczy niemieckich na ten właśnie teren. Dla językoznawcy mimo woli narzuca się analogia z dawnymi Drzewianami. Gdy jednak tam, w Hanowerszczyźnie, resztki języka (zwanego dziś w nauce **połabskim**) ocaliły i przechowały zapiski przygodnych amatorów - zbieraczy (pochodzą one z połowy XVIII wieku), to dla przyszłych pokoleń byłoby rzeczą bardzo cenną i pożądaną, gdyby tego na Śląsku dokonał już po nowoczesnemu fachowiec. A takich w Niemczech nie brakowało. Zapiski i prace tego rodzaju stanowiłyby tak ważny zabytek na przyszłość, jak szczątki mowy Połabian, czy innych narodów wymarłych, a nawet cenniejszy, bo ściśle precyzujący istotny stan rzeczy.

Tymczasem nic podobnego nie nastąpiło. Gwarami śląskimi ostatnio zajmował się **R. Olesch** (niezawodnie polski **Oleś**). Mimo, że wyszedł ze szkoły M. Vasmera, skierował swą uwagę na Górny Śląsk (Opolski), a nie na Dolny. Nie ujmując wcale wartości tej pracy, ani zaprzeczając konieczności i potrzeby badań językowych na całym Śląsku, trzeba przecież powiedzieć, że — wobec badań K. Nitscha — praca o gwarach Śląska Opolskiego była w danej chwili mniej pilną, niż podobne studium o ginącej już polskości na Śląsku Dolnym. Na ten jednak pomysł i plan nikt nie wpadł i nikt jego realizacji się nie podjął. Czy przyczyną nie były tu względy narodowościowe i polityczne?

Między obowiązkami a pilnością

Wobec tego na naukę polską spada dziś obowiązek naprawienia dotychczasowego zaniedbania. Istotnie inicjatywę w tym względzie podjął Instytut Śląski w wielu dziedzinach. Kierownictwo w zakresie badań językowych objął profesor Wrocławskiego Uniwersytetu, dr Stanisław Rospond. W oparciu o przedwojenny plan prof. K. Nitscha opracował program pracy, kładąc silny nacisk na równoczesność badań historyczno-językowych i dialektologicznych. Owocem pracy nad przeszłością gwar Śląska jest całkowite już przygotowanie przez niego do druku książki nieznanego Niemca pt. „Der Hoch- und Platt-polnische Reisegefehrte (!) für einen nach Süd-Preussen und Oberschlesien reisenden Deutschen nebst einer Anweisung zur Selbstübung dieser Sprache von einem in jener Gegend wohnenden Verfasser“ (Breslau 1804). Rzecz ta zawiera bogaty materiał gwarowy z Kozielskiego, który pozwoli oświetlić niejedną kwestię, dotyczącą przeszłości i teraźniejszego stanu narzecza śląskiego. Wnikliwy komentarz językowy wydawcy dopełnia wartości dzieła.

Postępuje też praca nad badaniem szczątków gwary polskiej na Śląsku Dolnym, a przygodnie też w Opolskiem. W obecnych powojennych warunkach życia tej dzielnicy jest to rzecz łatwiejsza i zarazem trudniejsza, bo często już z góry skazana na niepowodzenie. Łatwiej nam tę pracę przeprowadzić dziś, bo gospodarzami na Śląsku jesteśmy my sami i dostępu do tej krainy nikt nam nie tamuje. Sytuacja jednak przedstawia się o tyle gorzej, że często nie ma tu już kogo badać. Przed pierwszą wojną światową można było zebrać obfity jeszcze materiał, nie tylko w Sycowskiem, Namysłowskiem, ale też Brzeskiem, a także w Oławskiem, może też częściowo w Oleśnickiem. Do dziś jednak pozostały tylko jednostki, a w niejednej wsi nie ma już ani jednostek.

Dlatego poszukiwania w tych wsiach nie mogą dać pozytywnych wyników.

Z tej przyczyny nie da się obecnie przesunąć granicy badań nad polszczyzną Dolnego Śląska dalej, jak do zachodniej granicy powiatu sycowskiego, namysłowskiego i brzeskiego (po prawym brzegu Odry), a tylko w pewnym punkcie (Kamień) na wschodni skrawek powiatu oławskiego.

dyftong, dyftongiczny, dyftongizacja — dwugłoska, dwugłoskowość, tendencja dwugłoskowa (dwie samogłoski następujące po sobie, mające jedno brzmienie).
fonetyka — nauka o brzmieniu wyrazów, o dźwiękach;
izofony — linie na mapie językowej, wytyczające obszary wspólnych wyrazów lub brzmień;
morfologia — nauka o budowie wyrazów.

Stanisław Bąk

---

1) W Mąkoszycach (w powiecie brzeskim) dwoje dzieci Ślązaków (ojciec z Jankowic koło Pszczyny, matka zdaje się z Szombierek koło Bytomiu) w wieku 4 i 6 lat mówią bardzo ładnie po polsku z... lwowska.

1) Por. „Dialekty polskie Śląska“ („Materiały i Prace Komisji Językowej“, tom IV — Kraków 1909 i w „Wydawnictwach Śląskich: Prace Językowe“, nr 5 — Kraków 1939), „Dialekty języka polskiego“ („Język polski i jego historia“, część II — Kraków 1915 i w „Gramatyce języka polskiego“ — Kraków 1923) i „Polskie gwary Ziem Zachodnich“ — Kraków 1945).

Listy z Polskiego Zachodu

Plaga frazesów

Dolny Śląsk, w maju 1948

W małej robotniczo - chłopskiej osadzie na Ziemiach Odzyskanych zwołano wiec. Miał przybyć nawet jakiś przedstawiciel z Warszawy. Była ciepła słoneczna niedziela. Ludzi zebrało się dużo. Poszedłem i ja, bo jestem członkiem partii i interesują mnie sprawy polityczne i nastroje wśród ludzi. Ciekawy byłem również onego przedstawiciela z Warszawy: jak wygląda i o czym też będzie mówił.

Naturalnie — naszym starym polskim zwyczajem wiec nie zaczął się o oznaczonym czasie, choć ludzi było mrowie i nikt na nikogo nie czekał. Ten i ów zaczął więc mruczeć, sarkać, wyrażać głośno swoje niezadowolenie. Dopiero gdy ludzie podenerwowani stratą czasu poczęli się rozchodzić do domów — wiec zaczęto.

Na trybunę wszedł przedstawiciel z Warszawy o ujmującym wyglądzie. Mówił dużo i niezrozumiale. Robotnicy i chłopi nie dużo pojęli z jego długich wywodów o sytuacji politycznej w świecie, ponieważ mowa naszego prelegenta naszpikowana była terminami zrozumiałymi dla kół inteligenckich, absolutnie jednak niezrozumiałymi dla chłopów i robotników. Będzie to truizmem, ale trzeba to powtarzać przy każdej okazji, że wszyscy chcemy języka prostego, dalekiego od wyświechtanych i beztreściwych frazesów. Ale to tylko na marginesie. O to do prelegenta warszawskiego pretensji mieć nie można. Przebywając stale w Warszawie nie ma kontaktu z człowiekiem pracy na prowincji i nie umie mówić jego językiem. No trudno. Wolelibyśmy innego ale i ten nie był najgorszy.

O wiele większy sprzeciw budziły natomiast mowy przedstawicieli miejscowych władz i urzędów. Więc najpierw długa mowa przedstawiciela Samopomocy Chłopskiej. Mówca na wstępie zastrzegł się, że jest chłopem i że będzie mówił tylko o sprawach chłopskich. Rychło przekonaliśmy się, że nic tam o sprawach chłopskich nie było, dużo natomiast polało się wody o polityce światowej, o imperialiźmie, kapitaliźmie itp.

Na pewno mówca miał rację, ale na Boga! nie mówmy wszyscy o wielkiej polityce świata. Są od tego inni, ot choćby przedstawiciele z Warszawy. My mówmy o sprawach bezpośrednio nas obchodzących: o zwiększaniu produkcji, o podniesieniu uprawy roli, o usprawnieniu pracy w urzędach, o naprawie kiepskich dróg. Pilnujmy swoich kopyt!

Tyle jeśli chodzi o merytoryczną stronę przemówienia przedstawiciela chłopów. A teraz zagadnienie formy. Otóż przemówienie jego wyglądało mniej więcej tak: „Jeżeli chcemy by nasza przyszłość była taka czy inna, to musimy postępować tak czy inaczej. Od naszego takiego czy innego postępowania zależy taka czy inna przyszłość. Więc nie zważajmy na nic: Na takie czy inne gadanie, ale pracujmy tak czy inaczej a zdobędziemy taki czy inny dobrobyt“.

I tak czy inaczej w kółko. Aż do mdłości w żołądku. Dlaczego u Boga Ojca ten niby-chłop nabiera takiej okropnej maniery? Czemu nie mówi słowem prostym jak kłonica? Każdy by go wysłuchał z ochotą i nie odstraszałby ludzi od politycznych zebrań i wieców. To jeszcze nie koniec. Jako następny wystąpił wójt. Mówił na ogół do rzeczy i przemówienie jego spotkało się z uznaniem. Nie kołował po świecie, trzymał się mocno zagadnień i spraw swojej gminy. Mówił o zdobyczach i brakach, o tym co jest i co należy jeszcze zrobić. Ale i wójt zapragnął być kwiecisty. Nie chciał pozostać w tyle za swoimi poprzednikami. I w pewnym miejscu powiedział: „Różnie tu o nas mówiono: że to, że tamto, że nie damy sobie rady. Niestety ujęliśmy ster w swoje ręce i doprowadzimy pracę do końca.“

Biedny wójt. Słowo „niestety“ utożsamia ze słowem „jednak“. Pomyłek tego rodzaju popełnił w swym przemówieniu więcej. Dlaczego? Bo zapragnął być górny, patetyczny, inteligencki. A szkoda. Bo pozatem przemówienie jego było naprawdę ładne i sensowne.

Pod koniec wiecu przemówiła przedstawicielka kobiet miejscowych. Najpierw nie było jej w ogóle słychać. Mówiła pod nosem — dla siebie. Gdy ludzie zaczęli wołać: „głośniej! głośniej!“, biedaczka dostała takiej tremy, że zdołała wykrztusić zaledwie te oto słowa: „ Ja, jako przedstawicielka kobiet, chciałabym powiedzieć, że my kobiety musimy walczyć z bronią w ręku“. Tyle. Szkoda, że nie z bronią u nogi. Ale — żarty na bok: Tego rodzaju nieporozumień na wiecach i zebraniach politycznych jest daleko więcej. I nie tylko w osadzie o której mowa. Jest to zjawisko nagminne, odbijające się niekorzystnie na uświadamianiu ludności Ziem Odzyskanych. Trzeba temu zapobiegać wszędzie. I koniecznie pouczyć prelegentów o ich zadaniach. Nie niszczmy entuzjazmu z jakim ludzie idą na zebrania, nie podrywajmy zaufania do słowa i nie ośmieszajmy się wreszcie. Najwyższy czas z tym skończyć!

JAN KOPROWSKI

PAWEŁ KUPKE

Wiedza a ciężarki u nóg

Antoni Trepiński: POTĘPIEŃCY! Sąd wieków nad Niemcami. Antologia. Nakł. Księgarni Ludowej, Łódź 1947, stron 543, ilustr. 29. — Janusz Pajewski — Włodzimierz Głowacki: ANALOGIE REWIZJONIZMU NIEMIECKIEGO. Wydawn. Zachodnie, Poznań 1947, stron 177. — Janusz Pajewski: NIEMCY W CZASACH NOWOŻYTNYCH (1517—1939), Instytut Zachodni, Poznań 1947, stron 343. — Kazimierz Tymieniecki: DZIEJE NIEMIEC DO POCZĄTKU ERY NOWOŻYTNEJ, Instytut Zachodni, Poznań 1948, stron 664. — Jerzy Kowalewski: SPOJRZENIE NA NIEMCY WSPÓŁCZESNE, Polski Związek Zachodni, Poznań 1948, stron 30. — Marian Podkowiński: IV-ta RZESZA ROŚNIE, Sp. Wyd. Wiedza, Warszawa 1948, stron 191.

> **... potrzeba nadzwyczajnego trafu, bo trudno powiedzieć szczęścia, że się sprawdziły nie tylko ogólne przewidywania weimarskiego mędrca, ale że nawet trójca jego „siłaczy" znalazła doskonały odpowiednik w trójce założycieli Ostmarkenvereinu: Hannemannie, Kennemannie i Tiedemannie, istnych drei gewaltige Gesellen z dewizą na tarczy: Man hat Gewalt, so hat man Recht.**
>
> **Józef Tretiak: Goethe i Hakata, Kraków 1908.**

Polska wiedza niemcoznawcza, odkąd tylko zaczęła się formować, bez względu na to czy czyniła to w pojedynkę czy też myślała kolektywnie, rozumiała prawdę, tak doskonale na przykładzie Goethowskiego „Fausta" skomentowaną przez prof. Józefa Tretiaka, że jedynie Niemcy słabe mogły odstępować od swoich racji, jedynie słabe Niemcy mogły okazywać chęć poprawy, bać się i kajać, ale że równocześnie szukały siły, która by im pozwoliła znowu być sobą, to znaczy panować, rozkazywać, odbierać innym wszelkie prawa, siebie a raczej swoją siłę uważać za miarę wszelkiego prawa. Stąd narodził się słuszny, historycznie i psychologicznie umotywowany wniosek, że należy Niemcy osłabiać a słabe odmieniać. Ale właściwie wniosek ten w drugiej swojej i równocześnie uzupełniającej części narodził się w naszych dniach dopiero... Nie mógł on zatem mieć wpływu na wszystkie prace niemcoznawcze, które dotąd się u nas ukazywały, ale powinien mieć wpływ na książki, które w tej dziedzinie opracowuje się w chwili obecnej. Spójrzmy na plon wydawniczy niemcoznawczy ostatnich dziesięciu co najmniej miesięcy, to m. in. mając na uwadze.

1 Pilna i skądinąd cenna praca Trepińskiego, powiemy to od razu, jest pracą politycznie nie na czasie, bo w niczym nie przyczyni się do politycznego myślenia na temat Niemiec, stanowiąc natomiast obfitą pożywkę dla histerii antyniemieckiej, której bolesne dla naszego narodu źródła trudno przemilczać, ale którą w imię polityki należy leczyć, wyzwalać z nagromadzonej wokół niej łatwopalnej emocjonalności, sprowadzać na drogę myślenia realistycznego. Trepiński w zapale swym pisze nawet tak: „Powtórzmy po stokroć — w walce z Niemcami nie może być spoczynku, nieprzezorności, niezdecydowania, zmęczenia lub słabości." Wątpię, czy tego rodzaju stanowisko, niesłuszne nawet emocjonalnie, przyczyni się do naprawy stosunków polsko-niemieckich, a przecież o to głównie w polityce powojennej Europy wschodniej winno chodzić.

Książka Trepińskiego jest obszerną antologią głosów polskich na temat Niemców i Niemiec oraz wzajemnych stosunków niemiecko-polskich. Z nagromadzonych tu wypowiedzi, reprezentujących wszystkie nasze epoki, stany i światopoglądy, wyziera przeraźliwa prawda o ustawicznej grozie sąsiedztwa niemieckiego, zagrożenia sięgającego także i w dziedzinę moralności. Lektura tych wszystkich głosów pozwala jednak — zamiast ochoty do dalszej walki „bez spoczynku, nieprzezorności itd." — stwierdzić nasamprzód fakt, że o ile Niemcy posiadają historycznie podbudowany program polski, zbrodniczy i groźny, o tyle Polacy, nie mający czasu przejść do ofensywy, miotają między przekleństwem a łzą, wizjonerstwem i spekulacją a walką (obronną zresztą prawie zawsze). Taki obustronny bagaż, który na ogół antologia oddaje wiernie, wniosły oba narody w okres po ostatniej wojnie. Niemcy osłabione próbują zrewidować swój program polski; w strefie wschodniej zaś, będącej pod wpływami radzieckimi, rewizja ta zaczyna odnosić już skutki praktyczne, zapładniając programy partii, wynurzenia polityków i pisarzy. Rzecz jasna, że równocześnie w kołach reakcyjnych trwają poszukiwania siły, która ma zniszczyć nowe, mozolnie kształtowane narodów na tym odcinku Europy. Rolą naszą w tym okresie zatem musi być opracowanie takiego programu niemieckiego, który by, będąc ofensywny, stanowił i zabezpieczenie od strony Niemców i pozytywny wkład w ich odbudowę, opartą o zasady demokracji. Pierwsza sprawa to utrzymanie słabości niemieckiej przynajmniej tak długo, dopóki nie zostaną ugruntowane w narodzie niemieckim nowe prawdy o współżyciu między ludźmi i narodami. Czy historia poskąpi nam takiego okresu czasu?... W każdym razie, wracając do właściwej recenzji, książka Trepińskiego, cenna pod względem naukowym (choć autor wyrzeka się tego charakteru, nazywając rzecz publicystyką) jako zbiór opinii polskich o Niemcach, konsekwentną swoją antyniemieckością nie dopomoże do zbudowania racjonalnego programu polityki polskiej na odcinku niemieckim, zaostrzając konflikty sumienia z epoką. Jako Ślązak doskonale rozumiem Trepińskiego, Poznaniaka, ale wiem także, że epoka wzajemnych nienawiści musi runąć, że nie wolno nam się przyczyniać do przedłużania jej żywota lecz za wszelką cenę musimy budować dzień nowy, czy Niemcy tego chcą czy też nie. Dopóki są słabi — może nam się to udać. Nie znaczy to, by wyzbyć się czujności. O obowiązku tym stale nam przypominają Niemcy zachodnie. Czujność książka Trepińskiego może w nas podnosić. Ale nie jest to mimo wszystko książka dla mas. Szkoda.

2 Dwugłos Pajewskiego i Głowackiego na temat analogii rewizjonizmu niemieckiego jest właśnie niczym innym jak jednym wielkim głosem czujności. W „Nowych drogach", nr 8, w długiej recenzji książkę tę nazwano fałszywą i szkodliwą. Sądzę, że ocena wypadła zbyt ostro. Autorom zarzuca się tam wiele błędów natury politycznej, a m. in. i to, że „wewnątrz Niemiec nie chcą widzieć tej zasadniczej różnicy między siłami, które aczkolwiek jeszcze stosunkowo wolno, z pewnymi oporami, ale coraz konsekwentniej stają na platformie pokojowej i demokratycznej, a tymi wszystkimi, którzy pragnęliby kontynuować hitlerowską politykę antysowiecką i antypolską." Moim zdaniem autorzy, stojąc na zasadzie nieufności i czujności, mieli prawo wglądać również i w niemiecki obóz demokratyczny, gdzie jak wiadomo, początkowo udało się wleźć niektórym niedobitkom nacjonalizmu niemieckiego i zarazić nacjonalizmem pewne grupy niezupełnie jeszcze demokratycznie zorientowanych Niemców. Prasa niemiecka sama donosiła i donosi o likwidacji tych czy owych nacjonalistów, zdemaskowanych czasem dopiero anno 1948 a w międzyczasie mających swe odpowiedzialne stanowisko w życiu publicznym. Z trudem kształtująca się demokracja niemiecka, swój pozytywny stosunek do Polski najswobodniej akcentująca w strefie wschodniej, długo jeszcze będzie podgryzana przez różne indywidua, którym udało się dotąd uniknąć zasłużonej kary. I przed tymi to ludźmi i zjawiskami ostrzega wydawnictwo poznańskie, przed analogiami rewizjonizmu, mającego tak odległy rodowód, a dotąd całkowicie niezwalczonego. Autorzy słusznie piszą o koncesjach na rzecz narodu, na jakie idzie większość działaczy lewicowych, a że w konsekwencji są to koncesje i ustępstwa na rzecz nacjonalizmu, o tym może nawet sami ci politycy, działający w dobrej woli, nie wiedzą. Autorzy demaskują opozycję sprzed pierwszej wojny światowej, która nie dlatego została zniszczona przez hitleryzm, że nie chciała z nim paktować, ale dlatego, że nie chciał tego Hitler. W sumie jest to książka raczej pożyteczna, choć trudno zgodzić się z końcowym powiedzeniem, że w stosunku do Niemiec trzeba konsekwentnie stosować system twardej ręki. Nie to mieliśmy na myśli, mówiąc o podtrzymywaniu słabości Niemiec. Taka metoda — wprost przyczynia się raczej do wzrastania ducha oporu. Wolności, które Niemcom trzeba dawać, muszą być odmierzane według jakiejś zbawczej reedukacyjnie recepty. Nad wypracowaniem takich recept pracują cztery narody. Zdaje się jednak, że Związek Radziecki jest najbliżej klucza tajemnicy. Książka napisana została nadzwyczaj barwnie, w czym celuje zwłaszcza pierwszy z autorów.

3 Tenże sam autor dał nam zarys dziejów Niemiec nowożytnych. Rzecz napisana została, jeśli wolno tak powiedzieć, w tym samym duchu co ANALOGIE. Program taki rzucony na tło dziejów odleglejszych nie wypadł jednak przekonująco i zmusił autora do dość swobodnego potraktowania materiałów. Nie znaczy to, by książka ta była tendencyjna, ale jednostronność jej w kilku wypadkach zaciemnia nam zdarzenia. Autor niewątpliwie ma swój oryginalny własny pogląd na sprawy niemieckie. Wolno go mieć nie tylko publicyście, ale i naukowcowi, całkowity obiektywizm nie jest bowiem ani możliwy ani potrzebny. Nie mniej miejscami ten zarys czyta się jak dobrą publicystykę, ze szkodą dla treści książki, którą wolelibyśmy mieć nieco poszerzoną.

4 Za to w książce Tymienieckiego, ujmującą dzieje Niemiec do początku ery nowożytnej, rozpoznajemy książkę prawdziwie naukową, tak w stylu jak i w gospodarowaniu materiałem. Jest to, powiedzmy więcej, doskonała praca naukowa, tym cenniejsza, że właściwie po raz pierwszy dostajemy całość dziejów Niemiec z rąk uczonego polskiego. Dotąd musieliśmy je poznawać ze źródeł niemieckich czy obcych a nie każdy jest na tyle krytyczny i obeznany w materiale, by mógł korygować poznawane wnioski. Książka Tymienieckiego przynosi chlubę nauce polskiej, będąc obiektywną w sądach, oszczędną we wnioskach, rozległą w horyzontach.

5 Broszurę Kowalewskiego, napisaną i kolportowaną na miniony Tydzień Ziem Zachodnich, godzi się w tym przeglądzie wspomnieć głównie dlatego, że stanowi ona popularny, miejscami może nieco uproszczony, program polski na odcinku niemieckim a właściwie wskazówki do programu, który stał się programem rządowym. Jest to broszura polityczna, stawiająca problem niemiecki na płaszczyźnie walki między siłami imperializmu a siłami demokracji. Ten program nie uznaje zatem podziału nacjonalnego, w którym niejaką rolę odgrywa jeszcze tzw. dusza narodu, nie uznaje niezmienności charakteru narodu. Jest to program optymistyczny, uznający możliwość zgody. Autor w tym celu dzieli Niemców — na tych, którzy, służąc amerykańskiemu imperializmowi, nie umieli dotąd wyzwolić się z kompleksów nacjonalizmu, oraz na tych, którzy zrywając z przeszłością, przełamując pewne narodowe schematy myślenia, pragną oprzeć przyszłość Niemiec o nowe wzory i zasady historii, o inną zupełnie ideologię niż dotąd. Autor widzi w politykach Socjalistycznej Partii Jedności głównych przedstawicieli tego kierunku.

6 Ale optymizm znowu burzy w nas książka Podkowińskiego. Już sam tytuł stanowi dla nas groźne memento. Treść felietonów Podkowińskiego, ukazująca nam na ogół dość wszechstronny obraz Niemiec, uzasadnia tę groźbę tytułową. Właściwie i ta książka winna się nazywać analogiami rewizjonizmu a raczej szerzej — nacjonalizmu niemieckiego. O ile jednak autorzy ANALOGII w poszukiwaniu rewizjonizmu udali się we wszystkich kierunkach Niemiec, o tyle Podkowiński ograniczył się do stref zachodnich lub do tych działaczy i zjawisk politycznych, które w czymkolwiek różnią się od klimatu SED i niektórych stojących pod jej wpływem ugrupowań. Błyskotliwe rozważania i uwagi niewątpliwie przyciągną czytelnika, spragnionego wiadomości o Niemczech, stęsknionego widoków klęski swego wroga. Niestety, podobnie jak Pajewski-Głowacki, Podkowiński ma dla nas raczej truciznę...

7 Książka jego w połączeniu z broszurą Kowalewskiego natomiast ma już swoją całkowitą polityczną wymowę jako problem i program. Niektóre uzupełnienia z pogranicza absolutnej czujności dojdą jeszcze z ANALOGII — i w ten sposób będziemy mieli aktualną wartościową wiedzę o Niemczech, podbudowaną solidnym studium Tymienieckiego. Będzie to wiedza bez ciężarków u nóg, zdolna do politycznych lotów. Emocjonalnych przyczynków bardziej krytycznym czytelnikom dostarczy Trepiński. Warto przy tym będzie jeszcze sięgnąć do Osmańczyka „Spraw Polaków", do poznańskiego trójgłosu „Niemcy rozgromione?", do artykułu Osmańczyka wreszcie w „Odrze" pt. „Rodowód nacjonalizmu", który wywołał żywą dyskusję wśród czytelników.

Ogólnie biorąc, omówione powyżej książki dostarczyły nam sporo cennego budulca do naszego programu niemieckiego. Jako wyraz różnych poglądów na sprawę niemiecką w naszym społeczeństwie będą cenną pomocą dla naszych polityków, którzy tezy programowe na odcinku niemieckim uzgodnić będą mogli z opinią. Wszystkie te wydawnictwa są poza tym przykładem ogromnego zainteresowania mas polskich problemami Niemiec, wszystkie także, bez względu na ich aktualnie polityczną wartość lub znaczenie, świadczą o nieprzerwanym rozwoju tak potrzebnej w naszym społeczeństwie wiedzy o Niemcach.

Paweł Kupke.

Korespondencja

WYJAŚNIENIE „ZESZYTÓW WROCŁAWSKICH"

W numerze 12/13 „Odry" pojawiła sie ocena bieżącego numeru „Zeszytów Wrocławskich (1948 nr 1), którą stały sprawozdawca działu „Wśród czasopism" (ki) zakończył następującą informacją:

> Na wstępie mówiłem o „Zeszytach „Wrocławskich" jako o beniaminku. Tymczasem chodzą po Katowicach plotki, (plotki na temat czasopism literackich stały się ostatnio modne), że są one tym beniaminkiem nie dla wszystkich. „Oto podobno ministrstwo, które dotychczas subwencjonowało „Zeszyty", zrezygnowało z tego mecenatu, przy czym jakiś referent zdobył się nawet na uzasadnienie tej decyzji. Jego zdaniem „Zeszyty są pismem prowincjonalnym, a w utrzymaniu takiego pisma ministerstwo zajmujące się sprawami „Ziem Odzyskanych" nie ma zainteresowania.

Wiadomość tę powtórzyła z kolei prasa wrocławska, łódzka, warszawska, zatroskana o los wydawnictwa. Przy tym interpretacja, jaką dawała prasa, zawiera niepokój o istnienie „Zeszytów Wrocławskich", ale także dosadną krytykę nienazwanego ministerstwa.

Redakcja „Zeszytów Wrocławskich" stwierdza z całą kategorycznością, że nie powierzyła sprawozdawcy „Odry" wprost ani drogą pośrednią żadnych wiadomości tego rodzaju. Ze zdziwieniem zatem i przykrością obserwuje obecnie przebieg polemiki prasowej, jako kłopotliwy dowód rosnącej popularności pisma.

Redakcja „Zeszytów Wrocławskich" stwierdza, że wiadomości katowickie, które niestety przedostały się do druku, nie dotyczą w najmniejszej mierze instytucji, subwencjonujących do tychczas pismo: Ministerstwa Kultury i Sztuki (Departament Literatury i Książki) oraz Funduszu Kultury Narodowej (przekształconego obecnie na Komitet Ministrów dla spraw kultury). Instytucje te bowiem z należytą powagą i zrozumieniem potrzeb kultury literackiej utrzymują nadal swoją pomoc wydawniczą dla „Zeszytów Wrocławskich".

Redakcja „Zeszytów Wrocławskich" — Wrocław, Plac Nankiera 7.

Obowiązkiem pism literackich jest bić na alarm, jeśli życiu kulturalnemu zagraża biurokratyczna sztywność. W sprawie „Zeszytów Wrocławskich" zastrzegliśmy się, że jest to być może plotka. Nie mniej jesteśmy przekonani, że dość pokaźna ilość prawdy rozpuszczona została w szalejącej plotce. Czy redakcja „Zeszytów Wrocławskich" tego sobie życzy czy też nie, zawsze w przyszłości w podobnych wypadkach będziemy zabierali głos w obronie tego cennego pisma, bo to należy do naszych obowiązków. Do meritum sprawy zaś wrócimy jeszcze przy innej okazji.

„Redakcja Odry"

DO ARTYKUŁU „SPRAWA KARDYNAŁA PACELLI'EGO" WYJAŚNIENIE AUTORA

Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z przedrukowaniem mojego artykułu pt. „Sprawa kardynała Pacelli" zamieszczonego w „Odrze" w nrze 18 przez „Trybunę Robotniczą" z dnia 5. V. br. proszę uprzejmie o umieszczenie pewnego wyjaśnienia, związanego z komentarzem wstępnym, jakim przedruk ten został opatrzony.

Wyjaśnienie to dotyczy tego, że w publicystyce swojej nie uważałem się i nie uważam za wyraziciela opinii sfer katolickich, nawet pewnego ich odłamu, oraz że do przemawiania w imieniu tej opinii nie czuję się ani upoważniony, ani powołany.

Zdzisław Hierowski

ANIOŁY

A. Widerze

Anioły to wojska — wojują ze sobą
jak światłość z ciemnością
jak czerwień z żałobą
a trąby powietrzne to echo ich trąb
a bomby mordercze to echo ich bomb
gdy walczą gdy walczą anioły

Anioły w niebie nie piszą powieści
niż słowo lotniejsza jest myśl pełna treści
więc tej konkurencji nie trzeba się bać.
lecz kiedy szum skrzydeł nie daje ci spać
to walczą anioły, anioły
I nie myśl, że wiszę wśród planet i gwiazd
bo one pilnują wsi naszych i miast —
Ja kiedyś w półmroku widziałem nad Odrą
rozpięte szeroko w dal skrzydła ich modre
anioły — anioły — anioły.

Maria Stobiecka, Katowice.

Węzeł zatraty

(Dokończenie ze str. 1)

a pod spodem Bronisz konno z pocztem pędzi na Tatarów. Orzeł biały nad nim. Za chwilę Bronisz padnie na Dobrym Polu pod Legnicą, a może dopiero pod koniec boju... Białego orła na siedemnastowiecznym, ciemnym obrazie przez lata od pierwszego rozbioru nie dotknęli Niemcy. Aż dziw, że w klasztorze wśród pól, nadanych niegdyś rolniczym cystersom, mimo niemieckiego seminarium, mimo hitlerowskiego wojska uchowała się biała ptaszyna w krwawym polu spod Legnicy.

Współcześni milicjanci także mają białe orzełki.

A walka polskości z niemczyzną jest tu odwieczna. Roztropny i kompromisowy Zygmunt Stary rozstrzygnął tu blisko 400 lat temu, że opatami klasztoru mają być na przemian Polak i Niemiec. Było tak do końca Rzeczypospolitej. Krótko potem sekularyzowano klasztor, aby skarb pruski mógł zagarnąć folwarki. Imiona ostatnich zakonników, dożywających wieku jako świeccy proboszczowie, noszą na sobie płyty posadzki, po której stąpamy.

Główny ołtarz uderza jaskrawością barw namiastki marmuru. Straszny jest ten niemiecki gust! Ma się ochotę przesłonić oczy ręką. Bronić się przed natarczywością „marmurowej" brzydoty. Starzy uczniowie seminarium pamiętają jednak czasy, kiedy bogactwo plastyki drewna pokrywało matowe złocenie.

Na relikwiarzach widnieje koronowany wąż, herb Bony Sforza. Sama może haftowała go, dumna matka ostatniego Jagiellona.

Obok, tabernaculum jeszcze niedawno było przestrzelone małymi kulkami. Jakby kto złośliwie celował z jakiej małokalibrowej broni. Gdy odwróciłem się ku przeciwnej stronie nawy, objąłem wzrokiem wspaniałe, bogate organy. Jest na nich znak fundatora, a może tylko odnowiciela: h. Ciołek Króla Stanisława.

Dokładnie oglądamy pamiątki świątyni. Dawny jej gotycki kształt jawi się na okropnym, czerwonym bohomazie za ołtarzem. Obok są białe habity, zakonnych portretów. Pierwszy to, ponoć, Kadłubek. Zamiast korony włożono mu opacką infułę na herbową tarczę z Porajem. Gipsowy Chronos stoi przy medalionie jedwabnego kawalera, który w herbie ma piastę z kołem: to Osorya. Tu mocno siedziała Polska. Dziś, jak niegdyś cystersi zaczyna się brać do tego ogromu dwóch czy trzech nowoczesnych księży.

Wychodzimy. Na podwórku tuczna świnia spogląda na nas białorzęsym oczkiem mętnej wody. Ksiądz żegna nas pod rokokowym posągiem Matki Boskiej. Figurze ustrzelono głowę. Inne, boczne, ocalały.

Droga na Nietoperek jest świetna. Lecimy!

„Szukaj stonki" — głosi tablica.

W Szczecinie będziemy chyba jutro. Trzeba już odpocząć w niedalekich Pyrzycach. Stajemy przy krawężniku. Blisko są bramy obwarowań miejskich, które wznosił Barnim III Wielki, co wygnał Niemców z Ziemi Wkrzańskiej, a nawet z Meklemburgii.

Machinalnie wchodzę pod gotycki łuk drzwi kościoła. Są tuż za drzewami, obok których stanęliśmy. Kościół piękny, jak legnicki, jest zbity pociskami artylerii do miazgi, do okrągłości narożników, do głębokich blizn i dziur. Wieża jest straszliwym kikutem. Chór wspiera się na obtłuczonych kolumnach. Spalone są architrawy. Łuki i zworniki zardzewiałe wydają się od zacieków. Tuż stoją wagonetki, którymi wywozi się gruz przed odnowieniem. Spod kupy potłuczonych cegieł wygląda kraj chodnika, który biegł przez środkową nawę. Idę wolno. Obstępują mnie kolumny prezbiterium. Pusty, kaleki, lecz wspaniały swym dramatem jest ten kościół, który stoi może na tym miejscu, gdzie ochrzczono pierwszych pyrzyczan.

Wracam prawą nawą. Wysoko, z czarnej ramy, jak szmata lewą stroną płótna, zwisa portret... Drugi też postrzelany. Pod postacią duchownego urwany napis za półsłowem: „Joha..." Twarz jest nietknięta. Patrzy spokojnie. Dochodzę pod gruz blisko chóru. Przywarł tam do ściany stary obraz. Zsunął się widać ku posadzce, gdy w tym miejscu spadł płonący dach. Jest sam nadpalony, tak jednak, że w środku ocalała grupa jego treści: św. Rodzina nad Dzieciątkiem Jezus. Jaśnieje małe centrum obrazu mimo, że farba pod pyłem, mimo, że twarze porysowane ułomkami cegieł.

Tragiczny kościół.

Ma jednak otrząsnąć się z ruiny. Są kredyty! Miasto główne najżyźniejszego regionu Zachodniego Pomorza ma powstać z gruzu i być znowu sobą. ...A wiele tu się działo.

Drugi chrzest, za Krzywoustego dopełniony, przybliżył Pomorze do Polski, a potem...? potem 26. III. 1493 stanął tu układ z... czartem. Tu podpisał osaczony ks. Bogusław X jednostronny układ z kurfürstem brandenburskim, Janem Cyceronem, o dziedziczeniu Pomorza przez Hohenzollernów po wygaśnięciu pomorskich Piastowiczów.

W 1537 roku taki sam, lecz dwustronny układ, zawarł kurfürst Joachim II z Piastem legnickim, Fryderykiem II, pierwszym Piastem-lutrem o wzajemnym dziedziczeniu po wygaśnięciu Piastów lub Hohenzollernów.

Po śmierci tegoż Joachima syn jego Jan-Jerzy (r. 1571) poprawił układ pyrzycki na dwustronny także i dla Piastów.

Kto kogo przetrzyma? — rzucono dumne wyzwanie losowi. Nie wygrali Piastowicze. Udało się Brandenburczykom. Po 144 latach fatalny układ pyrzycki oddał pretensje do Pomorza Hohenzollernom, gdy zmarł bezpotomnie ostatni Świętopełkowicz: Bogusław XIV.

Po 139 latach równie fatalny układ z luterskim Piastem to samo uczynił ze Śląskiem, gdy zmarł na ospę ostatni, bezpotomny z książąt legnickich, Jerzy-Wilhelm.

Legnica — Pyrzyce: dwa to miasta splecione ponurym węzłem zatraty, a dziś radośnie odzyskane razem.

Jarosław Rogala.

Z Warszawy

Profile młodych

Bywają różne. Przeciętne i fascynujące. Dziwaczne i regularne. Mniej lub więcej klasyczne (w ostatnich czasach przeważnie mniej). A oto kilka z nich w pośpiesznych zygzakach pióra i ołówka:

Jednymi z ostatnich żyjących członków grupy poetyckiej, skupiającej się w Warszawie podczas okupacji przy piśmie literacko-społecznym „Sztuka i Naród", są: Lesław M. Bartelski i Stanisław Ziembicki.

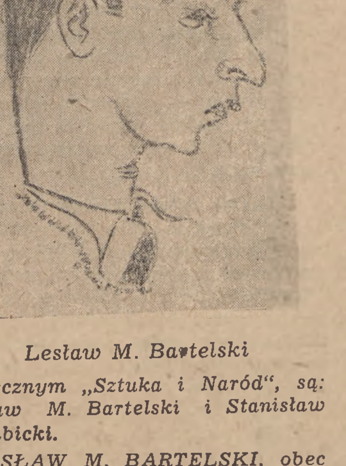

Lesław M. Bartelski

LESŁAW M. BARTELSKI, obecny sekretarz redakcji „Nowin Literackich" należy do młodego pokolenia poetów (ur. 1920), którzy przeżywali okupację już jako ludzie świadomi swych aspiracji twórczych i wtedy już walczyli o swój własny wyraz artystyczny. W warszawskiej konspiracji Bartelski był członkiem Ruchu Kulturowego.

W powstaniu sierpniowym Bartelski brał udział na Mokotowie w pułku „Baszta". Po wyzwoleniu pracuje początkowo w redakcji „Wsi" aby z kolei przejść do „Nowin Literackich". Oprócz wierszy pisuje również artykuły krytyczne m. in. artykuł o poezji p. t. „Drzewo bez korzeni", stanowiący refleks artykułu o studium dla młodych pisarzy w Nieborowie.

W roku bieżącym ukazał się na rynku księgarskim poemat wizyjny Bartelskiego „Przeciw zagładzie" o tematyce wojennej, który powstał w 1944 r. pod wrażeniem publicznej egzekucji na ulicach Warszawy. Utwór ten miał wyjść w podziemnej serii „Biblioteki Sztuki i Narodu", czemu przeszkodził wybuch powstania. Rękopis został wówczas uratowany od zniszczenia przez Romana Bratnego.

Bartelski posiada w tej chwili na warsztacie kilka pozycji jednocześnie. Jest tu wojenna powieść p.t. „Sprawozdanie z równin", którą spodziewa się skończyć jeszcze przed upływem bieżącego roku, dalej — „Geneologia ocalonych", praca pisana na zamówienie Ministerstwa Kultury i Sztuki, omawiająca poezję z czasów okupacji, wreszcie — wybór liryków z lat 1944 — 47 „Patrol między murami".

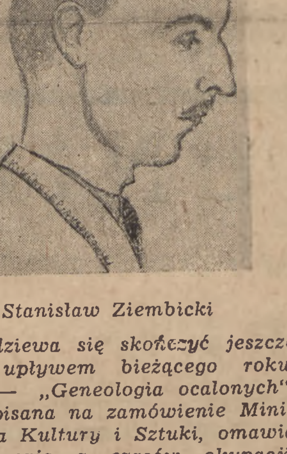

Stanisław Ziembicki

STANISŁAW ZIEMBICKI (ur. 1923) zaczął studia polonistyczne na tajnym Uniwersytecie Warszawskim, gdzie uczęszczał w okresie 1941 — 44. Studia polonistyczne i filozoficzne kontynuował po wojnie na Uniwersytecie Jagiellońskim, a potem z powrotem Warszawskim. Pierwsze jego prace literackie powstały w 1942 r. Drukował je w prasie podziemnej i powstańczej, gdy brał udział w powstaniu warszawskim. Po wojnie ogłosił szereg wierszy, artykułów, krytyk i fragmentów prozy artystycznej w różnych tygodnikach literackich. Zanim rozpoczął stałą pracę w Polskim Radiu, gdzie pozostaje do chwili obecnej, działał na terenie akademickim przy organizowaniu życia kulturalno-artystycznego. Jako pracownik Wydziału Literackiego Polskiego Radia Ziembicki jest autorem licznych audycji literackich. W roku 1946 wydał opowieść p. t. „Klara", a w roku 1947 poemat „Powrót do miasta", obrazujący wrażenia z rozbitej Warszawy, oglądanej po zakończeniu działań wojennych. W 1946 r. Ziembicki współredagował dwutygodn. młodych „Pokolenie".

Realizacja zamierzonych planów pisarskich napotyka u Ziembickiego na znaczne trudności. Powód — najprotszy — brak czasu, zajęcia, przejazdy. Szkoda. „Powrót do miasta" zapowiada tak wiele, czas musi się znaleźć, Obywatelu Poeto. Pewne metody poetyckie zastosowane w „Powrocie do miasta", stały się przyczyną żartów, jakimi usiłują czasem drażnić Ziembickiego jego koledzy. Jest to mianowicie zgromadzenie w tym poemacie astronomicznej wprost liczby zwierząt, gadów, i owadów wszelkich rodzajów, płci i maści i niewinna skądinąd skłonność do zdrabniania. W związku z tym powtarzam więc: Obywateluniu Liryczku! Weźcie piórko (flaminga lub Pelikana) i piszcie nowiutkie wierszyki, do jasnego wróbelka.

ROMAN SADOWSKI (ur. 1914) studiował polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim. Przed wojną drukował wiersze w „Pionie", „Kamenie" i „Okolicy poetów" oraz opowiadania w „Na szerokim świecie". Brał czynny udział zarówno w kampanii wrześniowej i obronie Warszawy w 1939 r. jak i powstaniu warszawskim (na Woli i Starym Mieście), w którym został ranny.

Od pierwszych chwil wyzwolenia objął pracę w Wydziale Literackim Polskiego Radia, gdzie działa do chwili obecnej. Jego imponującym dorobkiem radiowym jest cyfra około 750 audycji literackich, które puścił na antenę. Roman Sadowski wydał dotychczas dwa tomy poezji: „Życie naprzeciw" w r. 1945 i „Na krawędzi" w r. 1947. Ostatnim jego sukcesem było zajęcie drugiego miejsca na Konkursie olimpijskim w dziale liryki na zbiór wierszy p. t. „Rzut oszczepem", który niedługo ukaże się w wydaniu książkowym (Spółdz. Wydawn. „Wiedza"). Jest to, jak się zdaje, najcenniejsza pozycja w dotychczasowej twórczości Sadowskiego, która wskazuje na duże możliwości w jego poetyckim rozwoju.

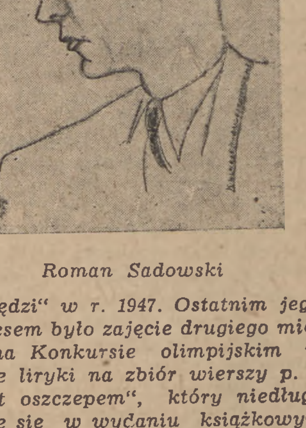

Roman Sadowski

A teraz najmłodszy, TADEUSZ KUBIAK (ur. 1924). Podczas wojny działał w konspiracji w Warszawie. Od 1943 r. brał udział w partyzantce w okręgu świętokrzyskim. Studiował na Wydziale Pedagogicznym Uniwersytetu Warszawskim. W licznych tygodnikach literackich, jak „Pokolenie" (w którego redakcji pracował po powrocie do Warszawy), „Odrodzenie", „Kuźnica", „Nowiny Literackie" i inne ukazywały się wiersze Tadeusza Kubiaka. Zyskały mu one wielu zwolenników, odkrywających w jego liryce nowe zdobycze formy i treści. Potwierdzili tę opinię poeci zagraniczni, tłumacząc wiersze Kubiaka na bułgarski, rosyjski i czeski. Skala zainteresowań młodego pisarza jest zresztą bardzo szeroka i obejmuje poza wierszami prozą artystyczną, słuchowiska radiowe i teksty do piosenek. Wśród rodzajów literackich, w których chciałby zabrać głos, znajduje się również dramat: W bieżącym roku wyszedł tom wierszy Kubiaka „Słowo pod żaglem". Drugi tom „Dwa roczniki" znajduje się w przygotowaniu.

Zainteresowania pozaliterackie? O tak, taniec, żona (studiująca malarstwo) i Hala. Nie, nie, nie jest bigamistą. Chodzi oczywiście o Halę Gąsienicową i znajdujące się tam schronisko, które poeta darzy wielką sympatią podczas turystycznych wypadów w góry.

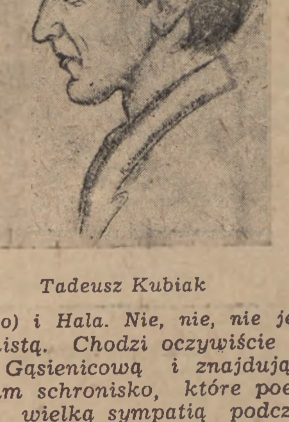

Tadeusz Kubiak

Oto pośpieszne szkice czterech profilów poetyckich młodej Warszawy. Dziękuję Obywatelom Poetom za myślący wyraz twarzy.

Kazimierz Winkler-Augustowski
Rysunki autora

O teatrze w Gliwicach

Mając pisać o teatrze gliwickim, mimo woli nasuwa mi się porównanie, że tyle jest z nim kłopotu w mieście, co w rodzinie przy przyjściu na świat nowego potomka. A może więcej. Jeszcze dobrze nie zabliźniliśmy ran zadanych wojną, kiedy życie, silniejsze i domagające się w swoich przejawach praw dla siebie i „lepszej cząstki człowieka" dopomniało się o ten pokarm dla ducha. Na szczęście sprawa ta w oparciu o mocne zaplecze społeczeństwa miasta, znalazła wreszcie swoje rozwiązanie, a dokładniej jego początek. Wykonanie prac wstępnych przy odbudowie teatru oraz obecnie prowadzone akcje, zmierzają do jak najszybszego oddania go szerokim rzeszom jego miłośników. Nie wspomnę tu o ogólnie znanych wartościach wychowawczych teatru, zajmę się natomiast sprawą bardziej konkretną i zasadniczą, jaką jest nadanie odpowiedniego kierunku nowopowstającej placówce. W ogniu ścierających się poglądów na ten temat, krystalizuje się jeden pewnik, mianowicie, że teatr w Gliwicach, nie może być jednokierunkowy. Nie może reprezentować jednego tylko kierunku sztuki, choćby dotychczas na Śląsku zaniedbanej.

Bezsprzecznie, operetka mogłaby zapewnić pełną opłacalność imprez jednak nie spełniłaby warunku wychowawczego, który powinien stanowić jeden z najpoważniejszych aspektów teatru. Zdajemy sobie sprawę, że jakkolwiek wskazanym byłoby pomyśleć i o tej gałęzi sztuki, lecz ważniejszą wydaje się konieczność utrzymania teatru o wszechstronnym zasięgu zainteresowań, mogącego zadowolić nie tylko nielicznych stosunkowo znawców (nie chodzi w tym wypadku o gusty) operetki. Potrzeba posiadania teatru dramatycznego, dająca się tutaj w dużym stopniu odczuć, powinna zostać przede wszystkim zaspokojona. Piszę „przede wszystkim", bo przy odpowiedniej organizacji i bez specjalnych trudności, można także stworzyć przy nim komedię muzyczną. Choć będzie to pewnego rodzaju kompromis, możliwość tę należy wziąć pod uwagę.

Wydaje się rzeczą wątpliwą, czy w wypadku osiągnięcia porozumienia co do samego kierunku działalności teatru gliwickiego, Miasto, pod którego zarządem teatr ten ma się znajdować, mieć będzie odpowiednie sumy na jego utrzymanie. Upaństwowienie tego teatru dałoby tu znacznie większe i lepsze wyniki, choćby ze względu na szersze możliwości jego finansowania. Rozważania te, mające charakter przysłowiowej „skóry na baranie", (ukończenie bowiem prac odbudowy przewiduje się w najlepszym wypadku na zimę br.) dać mogą jednak pole do licznych wypowiedzi na te temat znawców potrzeb tego terenu. Utrzymanie jednak teatru dramatycznego, któryby spełniał swoją rolę na Ziemiach Odzyskanych Śląska Opolskiego jest koniecznością chwili, zwłaszcze wobec niskiego poziomu tzw. Teatru Ziemi Opolskiej. Uwagi i projekty, zmierzające do ustalenia kierunku teatru w Gliwicach, będą dla realizatorów jego odbudowy (jako placówki szerzącej polską kulturę narodową), cenne i stanowić będą wytyczne ich prac.

Franciszek Niedzielski

Wśród czasopism

Tydzień Ziem Odzyskanych przeminął w prasie literackiej niemal bez echa. Pamiętały o nim dodatki literackie dzienników wrocławskich i na przekór listowi Papieża Piusa XII do biskupów niemieckich pamiętał *Tygodnik Powszechny*, który zresztą zrobił to, na co nie zdobyło się jeszcze żadne pismo literackie w Polsce (pomijając własne podwórko i niektóre reportaże Franciszka Gila w *Odrodzeniu*, należące do zamierzchłej niestety przeszłości): wysłał swego czołowego publicystę *Pawła Jasienicę* na reportaż. Jasienica nie zawiódł nadziei redakcji i czytelników. Dał cykl rozsądnych, trzeźwych i wykazujących dobre zorientowanie w problematyce reportaży, które czytaliśmy z satysfakcją i które w głębokiej Polsce, czytającej *Tygodnik Powszechny*, wiele chyba wyjaśniły. Poprzednio podobny cykl rozsypał po czasopismach różnego typu inny publicysta katolicki *Kazimierz Koźniewski*. Jego reportaże podobno mają się również ukazać w książkowym wydaniu, ale sprawa ta trwa trochę długo, a rzeczywistość na Ziemiach Odzyskanych zmienia się szybko, stabilizuje się i koryguje w żywym tempie, co sprawia, że tego rodzaju dokumenty, jakimi są reportaże, szybko tracą aktualność, nie całkowitą wprawdzie, ale już dezaktualizacja fragmentów osłabia ich znaczenie i oddziaływanie.

Artykuł Jasienicy „Patrząc na step" (Tyg. Powsz. nr 160) należy do cyklu jego wrażeń i refleksji z Ziem Odzyskanych, do cyklu, którym redakcja chciała osiągnąć nie tylko zwrócenie uwagi czytelników na znaczenie tych ziem dla Polski, na ich pozycję w strukturze naszego państwa, ale również i sprawić, by pomiędzy społeczeństwem a nową dla nas w sensie uczuciowym ziemią nawiązał się z powrotem zerwany przez wieki rozdziału kontakt emocjonalny. W tym wypadku mimo tytułu, w którym słowo „step" podkreśla istnienie jednego z najtrudniejszych na odzyskanych terenach problemów, problemu zużytkowania i zagospodarowania ziemi, Jasienica pisze o Ziemiach Odzyskanych jako o egzaminie organizacji i pracy, który zdał naród polski w trzech latach niepodległości. Dotychczas mieliśmy po świecie opinię (wątpliwej wartości realnej) świetnych, najlepszych czasem żołnierzy. Opinia ta nic nam nie daje. Powtarzają nam ją jak nieobowiązujący komplement. Czas więc, byśmy pokazali się światu od innej strony, od strony naszej pracy i naszej organizacji pracy, bo jeśli świat to ujrzy, przestanie nam prawić komplementy a zacznie nas szanować i zacznie się z nami liczyć. Najwymowniejszym przykładem naszej sprawności i naszego wysiłku jest obecny stan całości gospodarki państwowej, ale ponad wszystko winniśmy sobie cenić wartość propagandową tej pracy, jakiej dokonaliśmy za te trzy lata na Ziemiach Odzyskanych. „Okazało się — pisze Jasienica — iż owa *polnische Organisation* (o której z taką zwięzłą pogardą mówił Hitler po kampanii wrześniowej) nie zawsze oznacza bezhołowie i bałagan. Naród pracował i dopracował się tego, iż stać go na arcypoważne osiągnięcia natury najtrudniejszej, organizacyjnej. Umiemy dziś szybko — szybciej niż inni — likwidować stepowy ugór i ożywiać fabryki."

Domaga się więc Jasienica zużytkowania naszego dorobku zachodniego jako materiału do rzeczowej propagandy na zagranicę, co miałoby i to znaczenie, że przekonałoby czynniki zagraniczne o nieodwracalności wydarzeń, które zaszły na naszych ziemiach zachodnich od r. 1945. Ale jeden z fragmentów jego artykułu mówi o innej jeszcze potrzebie, o tym, jak mało zorientowane jest w tych sprawach nasze społeczeństwo w głębi Polski. „Odkąd zacząłem drukować — pisze Jasienica — reportaże o zachodzie, zdarza mi się czasem, że ten i ów zapyta: „panie, czy tam naprawdę coś się robi?" Jednemu z pytających — na szczęście nie jest ich zbyt wielu — odpowiedziałem: „a wie pan, ludzie wszędzie tam mieszkają". Człowiek wytrzeszczył na mnie oczy."

Z okazji zatem niedawno minionego Tygodnia Ziem Odzyskanych warto przypomnieć redakcjom i redaktorom naszej prasy społeczno-literackiej, że o Ziemiach Odzyskanych jeszcze pisać należy i trzeba. Jest jednak jeden warunek: pisać trzeba coraz lepiej i coraz bardziej rzeczowo, bo sloganów i młócenia słomy na ten temat mamy już dość.

Mam konkretną propozycję. W lipcu będziemy mieć we Wrocławiu wielką wystawę Ziem Odzyskanych. Niechże pisma nasze zawczasu pomyślą o przygotowaniu numerów specjalnych na tę okazję. Nasze tygodniki idą w świat. Niech świat się przekona, że „jesteśmy narodem normalnym jak inne, umiejącym i łby rozbijać i — w najtrudniejszych warunkach — wydajnie pracować" (Jasienica).

W zakres innych spraw wprowadza nas *Poradnik Społeczny*, którego osobny numer otrzymał tytuł „Rok 1948 w planach gospodarki państwowej". W numerze tym znalazły informacyjne omówienie plany inwestycyjne państwa na rok 1948 w zakresie rolnictwa, przemysłu, rzemiosła, komunikacji, gospodarki morskiej, handlu, budownictwa, aprowizacji, służby zdrowia, a na samym koniuszku także i prace nad rozwojem kultury i oświaty. Plany kulturalne są dosyć mgliste, tym więcej, że nie poparte żadnymi pozycjami finansowymi w przeciwieństwie do innych działów inwestycji, gdzie podawane są kwoty na dany cel przeznaczone. I tak w dziedzinie plastyki zaprojektowane zostało rozszerzenie akcji wystaw, konkursów, nagród, zakupów dzieł sztuki, przy czym specjalna uwaga skierowana będzie na czynnik wiązania artysty z zapotrzebowaniami społecznymi i na wystawy o charakterze dydaktycznym. Powiedziano więc dużo i nic, kończąc ten dział projektów zapowiedzią, że ministerstwo będzie dążyło do przekształcenia ogólnopolskiego Związku Fotograficznych Zrzeszeń Artystycznych na Polskie Towarzystwo Fotograficzne. Rzecz rzeczywiście epokowa.

Konkretniej plany wyglądają przy teatrach (ale znów bez cyfr). Tu mowa jest o opiece ministerstwa (w jakiej formie?) nad 5 teatrami państwowymi, 31 zawodowymi, 5 dziecka, 13 teatrami lalek, jednym teatrem kukiełkowym objazdowym i 3 teatrami zawodowymi objazdowymi (z tych trzech jeszcze jakoś o żadnym nie słychać). Planowana jest akcja wydawnicza zaspokajająca potrzeby teatrów ochotniczych i popularnych teatrów zawodowych, wydawnictwa specjalne dla szkół dramatycznych, utworzenie teatrów państwowych w Szczecinie i Gdańsku. Z faktu, że ministerstwo zmierzać będzie do dalszej obniżki cen biletów w teatrach, wynikałoby, że państwo zamierza przeznaczyć w swym budżecie większe kwoty na subwencjonowanie teatrów, z których wszystkie siedzą w długach.

W tym samym sensie ujęte są również zamierzenia w dziedzinie muzyki (opieka nad orkiestrami i popularyzacja). Szersze są plany Biura Współpracy z Zagranicą. Przede wszystkim mówi się tu o stabilizacji systemu kulturalnej wymiany międzynarodowej na podstawie zawartych umów kulturalnych. Praca ma iść w dwóch kierunkach: udostępniania polskiego dorobku kulturalnego zagranicy oraz zasilania materiałem obcym polskich instytucji kulturalno-artystycznych (koncerty, wystawy, wydawnictwa). Biura zmierzać będzie do zwiększenia ilości przekładów z literatury polskiej, do wymiany reżyserów, inscenizatorów, scenografów, do podniesienia poziomu polskich przekładów z literatur obcych. Przewidziane są wzajemne nagrody za przekłady, premiowanie wybitnych przekładów i stypendia dla tłumaczy.

Krótko omówione są jeszcze inne fragmenty planu, jak film (przewidziano 8 filmów pełnometrażowych), muzea, ochrona zabytków, nadzorowanie estetyki produkcji. Nie ma natomiast ani słówka o literaturze. Ani słówka. Ta dziedzina widocznie nie potrzebuje opieki ani pomocy. A co słychać z narodowym wydaniem Mickiewicza? *(ki)*

Encyklopedia „Odry"

O biskupach lubuskich

W celu uniezależnienia terenów, położonych nad środkową Odrą od supremacji kościelnej biskupstwa magdeburskiego założono z początkiem XII wieku nowe biskupstwo lubuskie. Obejmowało ono tereny biskupstwa poznańskiego, mniej więcej dzisiejsze powiaty sulęciński i słubicki oraz ziemie położone na lewym brzegu Odry. Podporządkowane ono było metropolii gnieźnieńskiej wiążąc tym samym ziemie te silnie z głównym ośrodkiem życia kościelnego w Polsce. Pierwszą stolicą biskupią, od której nazwę wzięło nie tylko biskupstwo lecz także cała ziemia, był Lubusz. Przeszłość jego sięga zamierzchłych czasów słowiańskich. Tutaj mieścił się gród kasztelański, posiadający ważne znaczenie strategiczne, broniąc przepraw przez Odrę. Z początku XIII wieku mamy wiadomość o znajdujących się w Lubuszu 3 zamkach. W jednym z nich znajdował się pałac biskupi i katedra, kasztelanem zaś grodu był Przybysław. Wiemy między innymi z kroniki biskupa poznańskiego Boguchwała, że w kościele św. Piotra w Lubuszu w roku 1245 został pochowany książę Mieszko, syn Henryka II.

Pierwszego biskupa lubuskiego poznajemy na kartach kroniki Boguchwała. Pisze on pod rokiem 1133, że „Bernardus episcopus Lubucensis" jest obecny przy poświęceniu klasztoru Norbertanek w Strzelnie, fundowanego przez Piotra kasztelana kruszwickiego, wojewodę kujawskiego.

Na kartach kronik średniowiecznych ustawicznie spotykamy się z postaciami biskupów lubuskich. W księdze założenia klasztoru Panny Marii w Henrykowie z XIII wieku, napisanej przez cysterskiego opata tego klasztoru Piotra, czytamy o biskupie Wawrzyńcu, którego pieczęć zachowała się na dokumencie z roku 1232. Początkowo był on kapelanem księcia Henryka potem kanonikiem św. Jana we Wrocławiu i notariuszem. Około roku 1209 Wawrzyniec zostaje biskupem lubuskim i wówczas to poprzedni swój urząd przekazuje swemu protegowanemu, duchownemu Mikołajowi pochodzącemu ze średniego rycerstwa ziemi krakowskiej, który to właśnie funduje klasztor w Henrykowie.

Biskupi pochodzili najczęściej z rycerstwa śląskiego. Pod koniec XIV wieku biskupem lubuskim jest Wacław z domu piastowskich książąt legnickich, zaś w latach 1392 do 1397 na stolicy biskupiej zasiada Czech, Jan Mraz. Do XIV wieku co podkreślają niemieccy historycy biskupi służą interesom politycznym Śląsko-Polskim, nie będąc w żadnym związku z Rzeszą Niemiecką. Toteż wpłynęło na wrogie do nich ustosunkowanie się margrabiów brandenburskich. Często przebywali w Polsce, czy to na synodach w Gnieźnie czy też uczestnicząc w różnych uroczystościach na dworze królewskim. Potwierdzenie tych wypadków znajdujemy w współczesnych kronikach. Przy uroczystościach koronacyjnych Kazimierza Wielkiego asystuje biskup Stefan. W „Pamiętniku" Janka z Czarnkowa, opisującym uroczyste egzekwie pożegnalne tego króla, spotykamy się z biskupem lubuskim Piotrem.

Biskupstwo dobra swe posiadało między innymi na terenie Polski. Od Henryka Brodatego, który chciał umocnić ich stanowisko materialne, otrzymali oni klasztor opatowski w Sandomierskiem wraz z wszystkimi przywilejami, na podstawie których roszczą oni sobie prawo do jurysdykcji na ziemiach ruskich, jak również rozpoczynają później akcję misyjną na ziemiach wschodnich. W latach około roku 1300 rezyduje na zamku w Opatowie biskup lubuski Jan.

Tragiczne są losy tego biskupstwa. W władcach świeckich tych ziem zamiast protektorów znajdują otwartych wrogów, którzy tolerują różne akty bezprawia dokonywane na biskupach przez miasta.

Od roku 1276 rezydencja biskupia znajduje się w Gorzycy, położonej nad Odrą w płn.-zach. części dzisiejszego pow. słubickiego. Jedyną pamiątką po siedzibie tu biskupstwa to herb miasta z pastorałem i mitrą biskupią. W roku 1326 napadają na Gorzycę mieszczanie frankfurccy, zrównując z ziemią rezydencję biskupią. Można się dzisiaj jedynie domyśleć, gdzie ona mogła się znajdować, nie pozostały żadne ślady. W Gorzycy rozegrało się wydarzenie tak symptomatyczne dla tych ziem w związku z przyjęciem reformacji. W licznych tu kościołach po wygłoszeniu pierwszego kazania w duchu reformacji usuwano wystroje Rosnota jak ołtarze, wyobrażenia świętych, niszcząc je. Na początku XV wieku Gorzyca staje się miejscem odpustowym z powodu istnienia tu cudownego obrazu Matki Boskiej, do którego przybywały również liczne pielgrzymki z Polski. Margrabia Jan zażądał wówczas od biskupów usunięcia obrazu; gdy polecenie to nie zostało wykonane, nakazał on wykonać je wójtowi z Ośna v. Minkwitzowi. Dopuszczono się wtenczas licznych gwałtów i profanacji kościoła. Podobnie została rozbita kaplica św. Krzyża w Rzepinie słynąca z wielu cudów.

Reformacja zastała biskupów w Furstenwaldzie położonym na lewym brzegu Odry, gdzie od roku 1385 znajdowała się stolica biskupia.

Żywe i przyjazne stosunki z Polską oziębiają się pod koniec XV. Wpłynęła na to również sprzedaż dóbr leżących na terenie Polski, Opatowa.

Wobec szerzącej się formacji maleje znaczenie biskupstwa. Po połowie XIV wieku znika tytuł biskupi a dobra ulegają sekularyzacji. W ten sposób z chwilą upadku biskupstwa ziemie te tracą wówczas jedyny związek z Polską jakim była zależność biskupstwa od metropolii gnieźniejskiej.

Utrzymanie polskości na terenie obecnej Ziemi Lubuskiej prawie aż do XVI wieku było w decydującym stopniu zasługą biskupów lubuskich.

Stanisław Wiliński

Molier — którego warto zobaczyć

J. B. MOLIERE: SZKOŁA ŻON, komedia w pięciu aktach w przekładzie *Tadeusza Żeleńskiego (Boy'a)*, reżyseria *Bohdana Korzeniewskiego*, dekoracje i kostiumy *Teresy Roszkowskiej*, premiera w Teatrze Państwowym w Katowicach na dużej scenie 1. V. 48.

Ta pierwsza na katowickiej scenie po wojnie komedia Moliera udała się teatrowi. Przyszła do nas wprawdzie z Łodzi i łódzko-katowickimi siłami została zrealizowana, ale za tym różnorodne przemawiały względy. Pomijając te względy powiedzieć trzeba, że strona artystyczna widowiska nie tylko na tej współpracy nie straciła, lecz przeciwnie, nawet dużo zyskała, dzięki czemu otrzymaliśmy jedno z lepszych przedstawień sezonu.

Tę rzadko u nas grywaną, efektowną, miejscami mocno rubaszną a świetnie przez Boya przyswojoną językowi polskiemu komedię wziął na warsztat reżyserski Bohdan Korzeniewski, którego przed wojną znaliśmy jako jednego z najwybitniejszych i najciekawszych naszych krytyków teatralnch. Nie starał się sztuki ujednolicić zachowując widoczną w niej różnorodność stylu z przewagą elementów farsowych, które Molier stara się równoważyć możliwie plastycznym ukazaniem psychiki Arnolfa, któremu daje szereg monologów odbiegających jednak od tego, co przeszło potem w schemat i przerodziło się w jeden z najpospolitszych chwytów scenicznych. Korzeniewski przede wszystkim starał się dać widowisko stylowe, przypominające w swych zasadniczych elementach teatr molierowski, co udało mu się niewątpliwie przy doskonałej współpracy projektodawczyni dekoracji i kostiumów oraz przede wszystkim wykonawcy głównej roli — Jacka Woszczerowicza. Drugą cechą spektaklu była dbałość o tekst i słowo, wynikające także i z literackiego podejścia reżysera. Opracowanie sztuki od tej strony było bardzo staranne. Aktorzy na ogół w tym punkcie nie zawiedli, w każdym razie nie zawiodły role ważniejsze.

Rezultaty, jakie osiągnął reżyser w tych dwóch kierunkach swojej pracy, sprawiły, że całość przedstawienia stanęła na dobrym poziomie artystycznym, że wydobyta została w komedii Moliera i barwność, i żywość, że nie zagubił się ani jej dowcip, ani jej humor, że widz poza satysfakcją doskonałej zabawy miał również satysfakcję pełnego kontaktu z dziełem prawdziwej sztuki. Mam wrażenie, że ani z artyzmu Moliera, ani z kunsztu tłumacza ta realizacja „Szkoły żon" nic nie uroniła, albo w każdym razie uroniła niewiele.

Aktorsko mocno górował nad zespołem Jacek Woszczerowicz w roli Arnolfa. Rozwinął przede wszystkim szeroką skalę środków aktorskich i dał dużą rolę, w której nie powtórzył się chyba ani razu. W każdej sytuacji był nowy, wyrazisty i zawsze trzymał rolę w zakreślonych przez reżysera i przez swoją koncepcję ramach. On też dźwigał na sobie cały niemal ciężar komizmu tej obfitującej jednak w statyczne sytuacje komedii. Dynamiką i plastyką swej gry, doskonałością techniki aktorskiej i doświadczeniem w posługiwaniu się nią wybijał się z całości obsady. Nie mniej powiedzieć trzeba, że miłą niespodziankę sprawiła p. Krystyna Miecikówna przez to, że nie pozwoliła swojej znacznie mniej efektownej roli postawić całkowicie w cieniu pomysłowej i bogatej gry Woszczerowicza. Jako Anusia miała naiwny i szczery wdzięk, pięknie mówiła wiersz, co już mieliśmy sposobność stwierdzić przy „Slubach panieńskich", umiejętnie posługiwała się gestem i mimiką, przekonująco i ładnie uwydatniła momenty przemian wewnętrznych, jakie zaczynają zachodzić pod wpływem miłosci w tej dziewczynie, w której „hodowano głupotę". Jej również młody partner, Jan Żardecki był mniej ciekawy, ale szedł wyraźnie po linii ustalonej przez reżysera i starał się w tym duchu dać postać możliwie najlepszą. Wydaje się jednak, że tak pełna życia i ruchu rola, jaką jest w tym przedstawieniu Horacy, nie bardzo odpowiada jego warunkom i skłonnościom. Pozostałe role wykonali: Bolesław Mierzejewski (Chryzald), któremu zdaje się rola też nie bardzo odpowiadała, Marian Bielecki (Enryk), Filip Kuligowski (Oront), Mieczysław Jasiecki (Grzela), Maria Pawluśkiewicz (Agatka) i Kazimierz Lewicki (Rejent).

Oddawszy już sprawiedliwość kostiumom i dekoracjom (peruki Tomasza Reszutki wspaniałe!), chciałbym zwrócić uwagę na dosyć nierówne rozwiązanie dekoracyjne całości sceny. Podczas gdy strona prawa z domem Anusi i bramą oraz urocza, stylowa fontanna dawały widzowi maksimum estetycznego zadowolenia, wątpliwości budziła strona lewa, gdzie umieszczono schodki wiodące pomiędzy jakieś mury jakby po prostu do kryminału. I jeszcze pewna niekonsekwencja: wejścia i wyjścia większości osób miały oprawę dekoracyjną (dom, schodki i brama), podczas gdy Chryzaldowi i rejentowi pozostawiono w tym celu już tylko kotary.

Przekład „Szkoły żon" należy chyba do najpiękniejszych przekładów molierowskich Boy'a.

Zdzisław Hierowski.

List z Wybrzeża

Sopot, w maju 1948

Czy nie jest rzeczą zastanawiającą, że, jak dotąd, żaden z wybitnych naszych pisarzy nie usadowił się na Wybrzeżu? Że 500 kilometrowy brzeg morski, na odzyskanie którego czekaliśmy wieki, nie przyciągnął ani jednego z czołowych literatów polskich? Że tak ważne ośrodki, jak Szczecin, Gdynia i Gdańsk, w których przecież kształtuje się zupełnie nowe oblicze Polski, goszczą co najwyżej przez parę dni „autora wśród swoich czytelników", zmykającego czym prędzej — po uciułaniu paru dobrych tysiączków — ku stołecznym pieleszom. Nic dziwnego tedy, że życie literacke Wybrzeża rozwija się dosyć mizernie, na co wpływają również (któż tego nie zna?) warunki ekonomiczne nielicznych tutejszych literatów, zmuszonych do zarobkowania w różnych instytucjach i firmach. Nie znam na Wybrzeżu pisarza, który by utrzymywał się wyłącznie ze swojej pracy literackiej. Dodajmy i to jeszcze, że Wybrzeże nie posiada własnego organu literackiego, co oczywiście utrudnia w poważnym stopniu wytworzenie się środowiska twórczego.

W tych warunkach każda konkretna robota literacka, choćby nawet nie twórcza sensu stricto, lecz nastawiona na upowszechnianie literatury, zasługuje na uwagę. Szczególnie, kiedy może się wykazać pewnymi bezspornymi osiągnięciami, kiedy może powołać się na widoczne każdemu rezultaty. Taką robotę prowadzi na Wybrzeżu Klub Literacki w Sopocie, istniejący przy oddziale gdańskim ZZLP. od maja 1946. Klub ten był kontynuacją „Klubu Literackiego Wybrzeża", założonego jeszcze w r. 1945 przez Janusza Stępowskiego, Janusza Rychlewskiego i Kazimierza Barnasia, a przeobrażonego później w oddział gdański ZZLP. W pierwszej swej fazie Klub Literacki prowadził pod kierownictwem dr. Antoniny Przewłockiej pracę ściśle wewnętrzną: członkowie Klubu zbierali się co tydzień na tzw. „środy literackie", odczytując fragmenty własnej twórczości, dyskutując nad zagadnieniami literackimi itd. Klub skupiał częściowo kandydatów gdańskiego oddziału ZZLP a częściowo osoby spoza Zw. Literatów, który to stan rzeczy utrzymał się do dnia dzisiejszego. W październiku 1946 r. rozpoczyna się druga faza działalności Klubu Literackiego w Sopocie: oto z inicjatywy ówczesnego sekretarza a dzisiejszego prezesa Klubu, Eugenii Kochanowskiej, zostały zapoczątkowane tzw. „Wieczory Dobrej Książki", odbywające się każdego poniedziałku w sali Domu Literatów w Sopocie. Na wieczorach tych, mających charakter publiczny, członkowie ZZLP lub Klubu omawiają wybitniejsze nowości literackie lub cenniejsze wznowienia, po czym odbywa się ogólna dyskusja. „Poniedziałki" sopockie chwyciły od razu grunt, zapewniając sobie dość znaczną liczbę słuchaczy, którzy systematycznie zjawiają się w poniedziałek w Domu literatów (frekwencja przeciętnie koło 100 osób, niekiedy dochodzi do osób 150). W roku ub. wieczory sopockie często powtarzano w Gdyni pod firmą „Czytelnika" oraz w Gdańsku w tamtejszym Bractwie Literackim. Co więcej, dzięki nawiązaniu współpracy z Wydziałem Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Gdańsku, ci sami prelegenci objeżdżali teren województwa gdańskiego, wygłaszając w mniejszych i większych miastach prowincjonalnych odczyty połączone z występami wokalno-muzycznymi artystów Wybrzeża.

W ciągu półrocznej swej działalności Klub Literacki zorganizował w samym Sopocie ponad 60 „Wieczorów Dobrej Książki" nie mówiąc już o paru większych imprezach literacko-artystycznych. Łącznie zaś z odczytami urządzonymi w Gdyni i Gdańsku oraz na terenie takich miast jak Wejherowo, Puck, Słupsk, Lębork, Kartuzy, Kościerzyna Tczew, Pelpin Skarszewy, Starogard, Bytów, Malbork, Elbląg, Sztum, Kwidzyń itd. — Klub ma na swym koncie blisko 200 wieczorów literackich! Min. Dybowski oświadczył w czasie swej bytności na Wybrzeżu w lutym 1947 r., że gdyby podobne prelekcje były urządzane na terenie całej Polski, nakłady książek zwiększyłyby się u nas w szybkim tempie. Można śmiało powiedzieć, że nie ukazała się w Polsce powojennej żadna wybitniejsza pozycja, która by nie miała swojego „wieczoru dobrej książki" w Sopocie. I że bez mała wszystkie aktywne siły literackie Wybrzeża gdańskiego brały udział w tych wieczorach zarówno w roli prelegentów jak i dyskutantów.

Oto książki, które były przedmiotem osobnych „poniedziałków" w ostatnim tylko roku działalności Klubu Literackiego w Sopocie, tj. od września 1947 r. do chwili obecnej: „Wertepy" Buczkowskiego, „Nowele włoskie" Iwaszkiewicza, „Kabała historii" Starowieyskiej Morstinowej, „Historia jednego życia" Hirszfelda, „Łuk triumfalny" Remarquea, „Straszny dom" Dobraczyńskiego, „Zamach w Paryżu" Stjernstedt, „Ostatnia Europa" Żuławskiego, „Opowieści morskie" Salińskiego, „Dwa teatry" Szaniawskiego, „Rajska jabłoń" Gojawiczyńskiej, „Listy spod morwy" i „Dziewczyna z Champs Elysees" Morcinka, „Bolesław Chrobry" Gołubiewa, „Niebo w płomieniach" Parandowskiego, „Matka" Gorkiego, „Wino i chleb" Silonea, „Ocalenie Jakuba" Zawieyskiego, „Śmierć poety" Grossmana, „Oczekiwanie" Broszkiewicza, „Klucze królestwa" Cronina, „Wędrówka Joanny" Szelburg Zarembiny, „Popiół i diament" Andrzejewskiego. Osobne wieczory poświęcono omówieniu twórczości Szekspira, Cervantesa, współczesnej powieści amerykańskiej, poezji polskiej ostatniego 25-lecia, poezji Staffa i Przybosia, Broniewskiego i Szenwalda, wreszcie zagadnieniom: „Moralna odpowiedzialność twórcy", „Problem kultury" (książki Suchodolskiego i Czarnowskiego) „O czym piszą kobiety". Prelegentami byli w tym czasie: Kazimierz Barnaś, Marian Brandys, Tadeusz Bocheński (z Zakopanego), Wanda Chylicka, Edward Fiszer, Stanisława Fleszerowa, Mieczysław Jarosławski, Edwin Jędrkiewicz, Eugenia Kochanowska, Marian des Loges, Janina Des Loges, Anna Łada, Amelia Łączyńska, Edward Martuszewski, Zofia Meissnerówna, Edmund Misiołek, Maria Szpyrkówna, Irena Szulcowa, Włodzimierz Wnuk.

Jak z tego zestawienia widać, na sopockich „Wieczorach Dobrej Książki" występowali w charakterze prelegentów obok paru znanych mających już za sobą poważny dorobek literatów — przeważnie członkowie kandydaci gdańskiego oddziału ZZLP. Poziom prelekcja a także dyskusji był w tych warunkach bardzo nierówny, trzeba jednak przyznać, że nie brakło wśród sopockich „poniedziałków" wieczorów naprawdę udanych i wartościowych. Pewne koła na Wybrzeżu postawiły Klubowi Literackiemu zarzut, iż omawianie poszczególnych książek nie przynosi publiczności większych korzyści, że zamiast nich powinno się organizować prelekcje poświęcone zagadnieniom literackim czy też sylwetkom pisarzy. Słuszność tego zarzutu jest problematyczna — można się z nim zgodzić tylko w tym sensie, że obok wieczorów dobrej książki powinno się urządzać również wieczory innego typu. Ten postulat zresztą Klub zaczął już realizować, poświęcając osobne „poniedziałki" sylwetkom wybitnych twórców czy też aktualnym zagadnieniom literackim. Jeśli już pod adresem Klubu można i trzeba wysunąć jakieś życzenie, to przede wszystkim to, aby „wieczory dobrej książki" były nieco staranniej przygotowywane — chodzi tu głównie o dyskusję, która przybiera niekiedy charakter nazbyt familiarny i nierzeczowy.

W ramach „poniedziałków" sopockich zamierza oddział gdański ZZLP urządzać co pewien czas wieczory autorskie swoich członków — inicjatywa ta jest pożądana, ponieważ literaci Wybrzeża rzadko, jak dotychczas, występowali ze swoją twórczością coram publico. Należy jeszcze wspomnieć, że obok „poniedziałków" Klub Literacki urządza co tydzień tzw. środę literacką, wewnętrzne zebranie swoich członków o charakterze towarzyskim. Zebrania te, na których członkowie Klubu odczytują fragmenty swojej twórczości, zastępują do pewnego stopnia wieczory autorskie.

Cokolwiek by można o działalności Klubu Literackiego w Sopocie powiedzieć, jedno nie ulega wątpliwości: dwieście „wieczorów dobrej książki" rozsianych po wszystkich niemal miastach i miasteczkach województwa gdańskiego (a częściowo i szczecińskiego), to konkretna i pozytywna robota na polu upowszechniania literatury, to niemały udział [illegible] naszego Wybrzeża Centralnego, będącego w znacznej mierze ziemią odzyskaną. O pozycji, jaką Klub wyrobił sobie na tym terenie, świadczy fakt, iż szereg organizacji społecznych i instytucji korzysta systematycznie z prelegentów Klubu, którzy niekiedy udają się w dość odległy teren na zaproszenie prowincjonalnych ośrodków kulturalnych.

W tym stanie rzeczy trudno pojąć, dlaczego Wojewódzka Rada Kultury i Sztuki Artystycznej w Gdańsku wstrzymała w jesieni 1947 r. skromną subwencję dla Klubu. Subwencja ta umożliwiała organizację występów literacko-artystycznych na prowincji, bo dzięki niej można było pokryć koszta podróży, a w wypadku deficytu wypłacić literatom i artystom i tak śmiesznie niskie honorarium (za występ zł. 1.500,—). Decyzja Wojewódzkiej Rady, a ściśle mówiąc jej prezydium, była dotkliwym ciosem dla Klubu, który z tą chwilą musiał wstrzymać prawie całkowicie wyjazdy w teren. W rezultacie praca nad upowszechnianiem literatury na prowincji Wybrzeża została poważnie zahamowana. Stanowisko prezydium Wojewódzkiej Rady jest zupełnie niezrozumiałe, boć przecież w tym samym czasie rozdzieliło ono pokaźne subwencje na inne cele, nie zawsze najściślej z życiem kulturalnym związane. Decyzja Wojewódzkiej Rady Kultury i Sztuki w Gdańsku, podjęta chyba na skutek fałszywego oświetlenia prac Klubu, jest typowym przykładem beztroskiego pociągnięcia piórem, które za jednym zamachem zadaje cios właśnie — kulturze i sztuce.

Włodzimierz Wnuk

Autorzy numeru

— JAN BARANOWICZ — poeta i dramaturg, pracownik programowy Polskiego Radia w Katowicach. Autor zbiorów poezji „Pieśń o jaworowym krzaku" 1938, „Chrystus w zaułku" 1939, Arkusz Śląski 1946, Ballady 1948 oraz licznych sztuk dramatycznych, z których większość ukazała się drukiem.

— STANISŁAW BĄK — docent lingwistyki Uniwersytetu Wrocławskiego, badacz gwar śląskich. Wydał „O zbieraniu materiałów gwarowych na Śląsku" 1937 i „Prace dialektologiczne na Śląsku przed Lucjanem Malinowskim" 1947.

— JAROSŁAW ROGALA — publicysta, osiadły w Szczecinie.

— KAZIMIERZ WINKLER-AUGUSTOWSKI — młody poeta i publicysta katolicki, osiadły w Gliwicach.

— WŁODZIMIERZ WNUK — publicysta katolicki, badacz góralszczyzny. Autor „Walki podziemnej na szczytach" 1948. Zamieszkały w Sopocie.

— HENRYK WORCELL — powieściopisarz, żyje jako rolnik w Henrykowie na Śląsku Dolnym. Autor „Zaklętych rewirów" 1936 i „Zdarzeń w mroku" 1939.

Krótkie spięcia

W kwestii formalnej

Już dawno przed wojną wybuchła ta sprawa. Po prostu wybuchła ona z nieznajomości języków obcych. Mianowicie na jednym z dorocznych zjazdów legionistów Piłsudski powiedział m. in. co następuje: „...bo najważniejszą rzeczą w armii jest to, co Francuzi nazywają — morale..."

„Morale" z wyraźnym „e" na końcu...!

No i to „morale" zostało. Przyszły inne zjazdy, przyszły inne wypowiedzi, przyszły inne okazje do przemówień, a „morale", jak chwyciło, tak poszło. Każdy gadał o „morale" (oczywiście z „e" na końcu, tak jak „bimbale", „pindale", „gingale" itp.) i o znaczeniu tego „morale". No i też o wartości tego „morale". Jak również o konieczności tego „morale". Tudzież o potrzebie tego „morale". I jakby nie było, taksamo o dobroczynnych skutkach tego „morale".

Tak jest.

A wszyscy rozdziawiali gęby, słuchali, a potem mówili: „Cholera to morale...!" (niektórzy powiadali też: „ta morale").

Tymczasem Francuzi się dziwowali, skąd w tym języku polskim słowo „la morale" — znaczące zwyczajnie: „moralność", przyjęło się jako określenie, oznaczające to, co zwykle się nazywa we wszystkich armiach „duchem", „nastrojem" itd.

Francuzi, rzecz prosta, są narodem walecznym, i dawno już znaleźli na określenie „ducha", „nastrój" itp. właściwy wyraz. Jaki? No jak to jaki? Zwyczajny! W każdym słowniku, w każdej encyklopedii, w każdym Larousse'ie można go znaleźć. Nazywa się on: „Le moral". Uwaga: „Le moral"! Bez „e" na końcu (które nawet, gdyby tam było, to i tak by się nie czytało)...!

W porządku...?

Otóż nie w porządku! Mijały bowiem tygodnie, mijały miesiące, mijały lata, ludzie rozsądni w prasie i nie w prasie tłumaczyli, że nie ma sensu robić do kredensu, czyli nie ma sensu zmieniać znaczenia wyrazów francuskich bez uprzedniej zgody Francuzów, ale to nic nie pomagało.

Co kto zaczął gadać na tematy mniej lub bardziej wojskowe, to zaraz musiał wsadzić nieszczęsne „morale" (z „e" na końcu). A jak pisał, to także a jakże „morale" z „e" na końcu. Nic nie pomagało. „Morale" było, „morale" istniało, „morale" królowało. I to naturalnie jako słowo czysto francuskie...!!!

Potem przyszła wojna ze swymi wszystkimi następstwami. Zrobiono reformę rolną, upaństwowiono przemysł, wprowadzono w życie tysiące zmian politycznych, społecznych, ekonomicznych, kulturalnych itd. — a cholerne, idiotyczne, bezsensowne „morale" zostało! W pismach wojskowych, — skąd inąd zresztą pierwszorzędnie redagowanych — a poza tym i w niewojskowych, jak tylko przyjdzie okazja do mówienia o duchu czy nastroju żołnierza, to zaraz taki czy inny autor musi wyjechać z „morale"! Żeby tam nie wiedzieć co, „morale" zawsze się znajdzie!

Czary jakieś czy co...? Przecież na miłość Boską do gadania o „morale" (z „e" na końcu) nikt nas nie zmuszał! Każdy obywatel polski może zaglądnąć do słownika, encyklopedii czy tradycyjnego Larousse'a i zbadać, że „la morale", to znaczy „moralność", a „le moral", to właśnie oznacza „ducha", „nastrój" itp.

Po cóż więc ta cała beznadziejna historia...?

Zdaje się, że chyba po to, abym ja się musiał irytować.

NIEJAKI X.

W następnym numerze dalszy ciąg dyskusji o genezie nacjonalizmu niemieckiego.

Wyd. „Czytelnik", 3 Maja 12. Redaktor naczelny WILHELM SZEWCZYK. Komitet redakcyjny: Zespół „Odry". Redakcja: Katowice, 3 Maja 36a, II ptr. Telef. 325-58. Oddziały Redakcji: w Olsztynie: Jerzy Antoniewicz, OLSZTYN, ul. Kętrzyńskiego 4; — w Szczecinie: Stanisław Telega, SZCZECIN, ul. Martynowa 32. Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Administracja: Katowice, 3 Maja 12. Wrocław, ul. Kościuszki 49, tel. 253. — Prenumerata mies. 60 zł, kwartalna 180 zł. Konto PKO III 4950. Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik". Złożono i odbito w drukarni nr 9 Sp. Wyd. „Czytelnik", Katowice, ul. Młyńska 9. Tel. 31059.

R 18116

·CZYTELNIK·

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA

·OMNIBUS·

Biblioteczka Niepróżnującego Próżnowania

WITOLD TASZYCKI
1
JAK KOBIETA W NIEWIASTĘ SIĘ PRZEOBRAZIŁA
str 15
zł 15

HENRYK SZARSKI
2
JAK ROŚNIE PAZNOKIEĆ
str 15
zł 15

KAZIMIERZ GUMIŃSKI
3
JAK WAŻONO POWIETRZE
str 31
zł 15

KAZIMIERZ GUMIŃSKI
4
CZY NATURA JEST PRZEKORNA
str 31
zł 15

ADAM KULCZYCKI
5
TAJNIKI SERCA LUDZKIEGO
str 29
zł 15

KAZIMIERZ GUMIŃSKI
6
ILE CZŁOWIEK ZJADA WĘGLA
str 30
zł 15